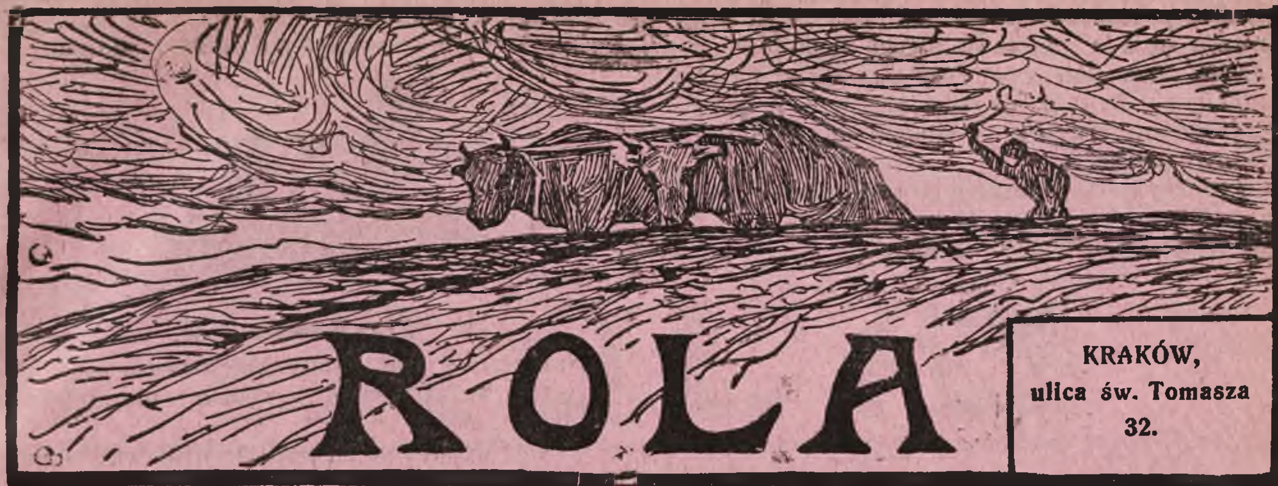
Numer 3. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 15 Stycznia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

ZAKŁAD POGRZEBOWY

»AETERNITAS«

Kraków, ulica Mikołajska L. 14.

Rok założenia 1892. Telefon 1469.

obecnie pod nowem kierownictwem urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych, czyniąc dla mniej zamożnych ustępstwa. Udziela kredytu. Przeprowadza ekshumację i przewozy zwłok do wszystkich krajów. Posiada na składzie **wielki wybór trumien i wieńców** sztucznych oraz metalowych.

Biuro architektoniczno-budowlane

L. Paciorkowskiego i St. Nowaka

w Krynicy

wykonuje wszelkie plany, kosztorysy i przeprowadza budowy po cenach jak najtańszych.

Dla czytelników »Roli« lub komitetów budujących domy ludowe 25% opustu.

Nie marnować owocu!

Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża), n. p. **Tokaj, Malagę, reńskie stołowe i t. p.**

Dokładny podręcznik przesyłam za 85 gr. w znaczkach pocztowych.

Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo.

M. Pradel, Kraków, Grodzka L. 2

(tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

Kalendarze „Figielki" już wyczerpane.

Główny Cennik Nasion na rok 1928

Bogato ilustrowany już wyszedł

Wysyłka na żądanie.

Hurtowny Skład Nasion EMIL FREEGE

Kraków, Lubicz 38 i Sukiennice 15/16.



Instrumenta MUZYCZNE

dęte i smyczkowe oraz części zapasowe do tychże. — Stare instrumenta naprawia, zestraja lub wymienia na nowe

J. A. NIKIEL

Kraków. Szewska 2.

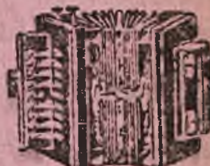
Wszelkiej porady przy zakładaniu i kompletowaniu zespołów orkiestralnych udziela **bezpłatnie**, za nadesłaniem znaczka pocztowego.



Dom muzyczny

Ignacy Cypres

Kraków, ul. Szewska L. 13 Rol.



wysyła mandoliny włoskie po 26.30 zł., koncertowe ozdobne 35—45 zł., skrzypce szkolne ze smyczkiem 22 złote koncertowe 30, 40 i 50 zł., klarnety 8 klap 38 zł., 10 klap 45 zł, 12 klap 50 zł., gitary koncertowe 40—45 zł Kornety 120 zł. Harmonje registry 25 zł., Wiedeńskie 1-rzędowe 35 zł., dwurzędowe 50 zł. Nikl. „Gre Roskopf" patent. z łańc. 13 zł., nikl. płaski zegarek słynnej marki „Enigma" 22 zł., budzik 14 zł., brzytwy „Solingen" po 6, 8 i 10 zł., maszynki do włosów 9—12 zł., djamenty do szkła po 7, 9 i 12 zł. Cennik ilustrowany zegarków i instrumentów darmo i opłatnie.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Mogło być gorzej.

W końcu przedstawienia teatralnego jeden z widzów zwraca się z krzykiem do swego sąsiada:

— Gdzie masz pan oczy, cały akt siedzi pan na moim kapeluszu. Ja tego nie daruję!

— Bardzo mi przykro — odpowiada tamten, — ale mogło być gorzej.

— Co znaczy gorzej! Jeszcze pan sobie pozwala na kpiny. Dureń!

— Bo mogłem siedzieć na moim.



Spryciarz.

Przed sklep jubilerski zajeżdża samochód, z którego wysiada elegancki pan z ręką na temblaku. Wchodzi, ogląda klejnoty, wreszcie wybiera piękny naszyjnik.

— Co to kosztuje?

— Pięć tysięcy złotych.

— Dobrze. Może pan zechce łaskawie napisać za mnie kilka słów, bo, jak pan widzi, nie władam prawą ręką.

Jubiler zgadza się. Pan dyktuje mu: „Moja kochana! Oddawcy niniejszego wydaj 5 tysięcy złotych“.

Pan bierze kartkę, wynosi ją czekającemu przed sklepem szoferowi, potem wraca do sklepu, siada, czeka. Po kwadransie szofer wraca z pieniądzmi. Pan płaci zabiera naszyjnik i wychodzi.

Kiedy jubiler przyszedł do domu na obiad, żona przywitała go pytaniem:

— Dlaczego przysłałeś po 5 tysięcy złotych?



Prawdziwa miłość.

Narzeczona maszynisty kolejowego:

— Czy wciąż jeszcze myślisz o mnie podczas długich jazd w nocy?

— Czy myślę? co za pytanie. Dwa razy z powodu tego wykoleiłem pociąg.

— Słodki mój, kocham cię.



Nie bez nagrody.

Jak się masz, kochany? No dzięki Bogu, wracasz z tamtego świata prawie.

— Tak mój doktorze, jedną nogą już tam byłem.

— I cóżeś tam widział?

— Order ci tam szykują, doktorku.

— Mnie? Za co? Z jakiej daty?

— Ba, za powiększenie ludzkości królestwa niebieskiego.

Numer 3. XI. Rok Kraków, dnia 15 Stycznia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł. półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Droga do zamożności.

Niema chyba człowieka na świecie, któryby nie pragnął posiadać coś swego, coś własnego, choćby to było niewiele, choćby tego nie można było nazwać majątkiem w utartem znaczeniu tego wyrazu. Każdy pragnie coś posiadać, ale wielu nie chce nic zrobić w tej mierze, sądząc, że „pieczone gołąbki same wpadną gąbki".

Jedni szukają szczęścia w grze na loterji, twierdząc, że raz przecież muszą wygrać, a tacy mają coraz mniej, a nie więcej. Inni czekają na jakiś spadek, spodziewają się jakiegoś zapisu, liczą na śmierć czy to bogatego wujka, czy cioci, lub wreszcie babci, którym się ani śni umierać.

Tacy ludzie ani rusz nie chcą tego zrozumieć, że „bez pracy niema kołaczy", a dopiero po niewczasie spostrzegają, że po zmarnowanem lecie źle bywa w jesieni.

Pracować przeto trzeba, i jeszcze raz pracować, a to, co się zapracuje, jak najskrupulatniej oszczędzać. Coś sobie bowiem zapracował, to twoje, coś sobie zaoszczędził, tego będziesz używał, gdy już nie będziesz mógł pracować. Mądrze powiedział jeden z naszych poetów: „Praca — chleb najpewniejszy: Kto się spuści na nią — i za żywota ma chleb i po nim zostanie"...

Powie może ktoś: „Jakże tu oszczędzać, kiedy dziś o zarobek tak trudno i ledwie na życie wystarczy?" To prawda, że są tacy ludzie, którzy pozornie nie mają na czem zaoszczędzać, ale tylko pozornie, gdyż nawet najbiedniejszy, jeżeli tylko prawdziwie zechce, jeżeli tylko sobie postanowi, że choćby drobniutką cząstkę swych dochodów odłoży na czarną godzinę.

Zarobić mniej czy więcej pieniędzy, to nie sztuka, ale sztuka jest naprawdę tak nimi gospodarzyć, aby one były użyte na najkonieczniejsze cele, a nic ponadto.

W społeczeństwie naszem nie brak nam ludzi naprawdę pracowitych i wielu z nich mogłoby zdobyć sobie stanowisko dostatnie i niezależne. Cóż, kiedy ci sami ludzie nie umią gospodarzyć. Lekkomyślność i nieopatrzność, oto nasze ogólne wady. Przez lekkomyślność wydajemy często ostatni grosz na rzeczy często nieproduktywne, gdy ten grosz nazajutrz przydałby się nam na coś niezbędnego.

Są więc ludzie przywykli wszelki swój zarobek wydawać zaraz, do ostatka, bez względu na to, czy potrzeba, nie myśląc o tem, że może wkrótce braknąć, że przy takim trybie życia braknąć musi. Kto zaś w chwili powodzenia odkłada grosz na czarną godzinę, ten pozbywa się tego niepokoju i z ufnością płynie ku niepewnej przyszłości, nie lęka się przykrej niespodzianki, bo gdziekolwiek los go rzuci, wszędzie znajdzie przyszłość bezpieczną, a na wypadek nieudolności do pracy lub śmierci dzieci jego nie staną się ciężarem dla społeczeństwa.

Dlatego to oszczędność jest obowiązkiem każdego i to właśnie jednym z największych obowiązków, a brak przezorności najstraszniejszem okrucieństwem popełnianych często nieświadomie na sobie i swoich dzieciach.

Oczywiście o odkładaniu wielkich sum trudno nam marzyć, boć dochody nasze są szczupłe, ale nawet z najdrobniejszych oszczędności może wzróść pokaźna kwota, która po latach może stać się nawet prawdziwem mieniem. Mamy wiele takich przykładów i każdy zapewne z nas zna takich, którzy z małego przy pracy i rozumie doszli do znacznego majątku, bo jedna jest tylko droga do zamożności: przy pracy oszczędność — ale oszczędność rozsądna.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

Było to, pamiętam jak dziś, 10 października. Rano chwycił lekki przymrozek, ale potem zajaśniało słońce i dzień był piękny. Maszerowaliśmy prawie całą noc i, o świcie odpocząwszy parę godzin w jakiejś wsi, prześliśmy miasto Saalfeld i w odległości ćwierci mili za niem ujrzeliśmy gęste linje jazdy pruskiej i około trzydziestu armat artylerji konnej. Oddział nasz składał się także z samej konnicy, a mianowicie: z pułków 9-go oraz 10-go huzarów francuskich i z naszej brygady bawarsko-polskiej. Towarzyszyła nam lekka baterja działek francuskich, i wogóle byliśmy słabsi od Prusaków, ale za nami podobno w niewielkiej odległości maszerowała piechota francuska i każdej chwili mogła się zjawić na polu bitwy. Dowodził nami naczelnie marszałek Lannes.

Na widok Prusaków zatrzymaliśmy się natychmiast i starszyzna wysunęła się naprzód, by zbadać pozycję i siłę nieprzyjaciela. Mówiono między nami, że jazdą pruską dowodzi książę Ludwik pruski, brat królewski.

Niebawem cała linja pruska poczęła się wolno posuwać naprzód, a armaty pędem ruszyły, przybiegły dość blizko przed nas, bardzo zręcznie zakręciły się na miejscu, odprzodkowały i z trzydziestu paszczy spiżowych naraz wystrzeliły kłęby białego dymu, potem rozległ się huk i grad kartaczy ze świstem i szumem przeleciał ponad naszemi głowami. W odpowiedzi na to nasza baterja działek uskoczyła w bok od gościńca, ukryła się w gęstwinie olszynki, rosnącej tamże, i raz po razu odpowiadać poczęła. Ze sztabu, otaczającego marszałka Lannes'a, wypadło kilku adjutantów z rozkazami, huzarzy francuscy poczęli się szykować w dwuszwadronowe linje, a do nas przyskoczył elegancki adjutancik z rozkazem, aby dwa szwadrony naszych zuchów ruszyły na prawo i lewo flankować gotujących się do szarży huzarów francuskich. Reszta pułku miała stać w asekuracji dział, a dragoni bawarscy mieli tworzyć rezerwę czyli odwrót.

Bitwa się na dobre rozpoczęła. My z pułkownikiem Konopką uszykowaliśmy się poza baterją, na którą armaty pruskie przeważnie swój ogień skierowały, a choć zasłonięci byliśmy nieco olszynką, jednakże coraz goręcej zaczynało nam tu być. Bezczynność, przyglądanie się milczące bitwie, świst nieustanny kartaczy, lecących ze strasznem warczeniem, przygnębiająco na mnie oddziaływały i teraz zrozumiałem, dlaczego przed bitwą żołnierze „dla kurażu" popijają wódkę. Na szczęście to milczące znoszenie pocisków niedługo trwało. Huzarzy francuscy z okrzykiem: „Niech żyje cesarz!" ruszyli do szarży wprost na armaty pruskie, a z drugiej strony Prusacy dla ich obrony zerwali się także i gęstą masą rzucili się na Francuzów. Wobec tej bitwy kawaleryj armaty, bojąc się razić swoich, umilkły i my odetchęliśmy nieco. Zresztą tak ja, jak wszyscy nasi, zapomnieliśmy o kartaczach, patrząc na wspaniały widok, jaki przed nami się roztaczał, na bitwę prawdziwie rycerską.

Jako dwa orły, gdy w górnych sferach rzucą się na siebie i tak się spoją w śmiertelnym uścisku, że zdają się tworzyć jedno ciało i tkwić niby punkt czarny i nieruchomy na błękicie, a tylko spadające pióra świadczą o walce straszliwej — jako dwie chmury, starłszy się ze sobą błyskawicami i gromami, dają znać ludziom, że tam gdzieś pod niebem bój chmurny i górny się toczy, tak te dwie jazdy chwyciły się za bary. Obie strony walczące były jednakowo uzbrojone, w szable i pistolety, walka więc była zupełnie równa.

Po pierwszem starciu cwałem pędzących na siebie dwu mas kawaleryjskich, którego ofiarą padło z obu stron zapewne wielu ludzi, bo mnóstwo siwych i kasztanowatych koni, na których siedzieli kawalerzyści francuscy, oraz niemieckich karych biegać poczęło bez jeźdźców, z poprzekręcanemi kulbakami, włócząc nieraz krwawe trupy za sobą — walka zmieniła się we wzajemne, bezładne uganianie się pojedyńczych bojowników. Trwało to jakiś czas, a my byliśmy niemymi widzami tych zapasów śmiertelnych.

Nagle dojrzeliśmy, jak z poza wzgórza ukazuje się nowa linja jazdy pruskiej z widocznym zamiarem uderzenia na rozpruszonych, podania ręki pomocnej swoim i ostatecznego dobicia Francuzów. Pułkownik Konopka, który stał przed frontem naszym, nagle wpół zwracając się, krzyknął:

— Rudnicki! Skalski! Sam tu do mnie!

Przybiegliśmy i salutując czekaliśmy na rozkazy.

— Ruszajcie mi jeden do pierwszego, drugi do drugiego szwadronu: niech się sformują i z boku wezmą na lance tę oto tam jazdę pruską!

Polecenie nie było bardzo bezpieczne, zwłaszcza dla mnie, bo, chcąc dopaść pierwszego szwadronu, należało przebiedz przez całe pole walki. Doskonale to rozumiałem, ale rozkaz był wyraźny i wahać się nie można było; zresztą i we mnie na widok tego boju rycerskiego zagrała krew polska i szlachecka i coś mię porywało, żeby wziąć udział w bitwie.

Spiąłem więc ostrogami mojego przyciężnego nieco konia i pędem ruszyłem naprzód. Widząc, że na szybkiem wykonaniu rozkazu pułkownika los bitwy spoczywa, bo jeżeli ukazujące się z poza wzgórza ciemne masy jazdy pruskiej wprzód dobiegną do walczących, nim nasze szwadrony z boku serdecznym je objemą uściskiem, to porażka huzarów francuskich stanie się nieuniknioną, postanowiłem na nic nie zważać, jeno lecieć wprost przez pobojowisko.

Jakoż była to podróż bardzo niebezpieczna, bo parokrotnie opadnięty przez czarnych huzarów pruskich, wystrzelałem moje oba pistolety, szablą sobie rum czyniłem i tylko szybkości mego konia, który w miarę biegu rozgrzewał się i pędził, jak szalony, winienem swe ocalenie. Ale nakoniec zziajany, czarny od dymu i prochu, dopadłem do naszych ułanów, zakomunikowałem rozkaz pułkownika rotmistrzowi i nie chcąc już drugi raz wracać przez bardzo gorące pobojowisko, przyłączyłem się do szwardonu i razem z nim ruszyłem do szarży na zbliżające się kłusem nowe szeregi jazdy pruskiej.

Był to także pułk huzarów, ale czerwonych, bo mieli karmazynowe uniformy, suto złotymi sznurami szamerowane, i czarne dołmany na ramionach. Nasze zuchy z taką furją i fantazją uderzyły lancami, że w jedno okamgnienie rozbiliśmy na drzazgi ów szwadron, połowę jeźdźców zrzucając z koni i w nabytym już pędzie dotarliśmy do głównej linji pruskiej. Gdy to samo z drugiego boku wykonał drugi nasz szwadron, Prusacy zatrzymali się w miejscu i przyznać trzeba, że choć zbici w dość niesforną kupę dzielny odpór dawali.

I tutaj rozpoczęła się wzajemna gonitwa po polu i pojedyńcze rycerskie zapasy. Pamiętam, że rozgorączkowany cały, dyszący żądzą walki i krwi, jeździłem kursgalopem po polu walki z gołą szablą w garści i kilkakrotnie, acz nieszkodliwie dla siebie i dla nich,

starłem się z huzarami czerwonymi. Wtem widzę w odległości kilkunastu kroków od siebie młodego pułkownika huzarskiego, jak sadzi na pięknym, acz długoszyim anglezie i, dopadłszy paru naszych ułanów, nagłemi i zręcznemi cięciami szabli zsadza ich z siodeł.

Na ten widok ogarnął mię gniew szalony i chęć pomsty. Spiąłem mego Niemca ostrogami i, dopadając do owego oficera, krzyczę po francusku:

— Poddaj się, pułkowniku, inaczej zginiesz!

Nic na to nie odpowiedział, tylko rzucił się na mnie z podniesioną, krwią dwu mych rodaków zaczerwienioną szablą. Niewiele myśląc, zamiast zasłaniać się, zrobiłem młyńca, którego mię stary konfederat Kownacki nauczył, i tak zręcznie, że szabla Prusaka, porwana w wir mojej, z głośnym brzękiem i furkaniem wyleciała w górę. Wtedy jednym potężnym machem ciąłem Prusaka w głowę. Zalał się krwią, jęknął, ręce rozpostarł, konwulsyjnie chwytając niemi powietrze, i zwalił się z konia na ziemię.

XVII.

Stałem przez chwilę nad trupem, gdy nagle ze strasznym krzykiem i przekleństwem opadło mię kilku czerwonych i czarnych huzarów, jedni z gołemi szablami mierzyli we mnie, inni zeskoczyli z koni i poczęli podnosić zwłoki porąbanego przeze mnie pułkownika, jęcząc:

— Panie Jezu! to książę! książę!

Słyszałem te okrzyki i jęki, ale nie miałem czasu nad nimi się zastanawiać, bo Prusacy z wściekłością na mnie uderzyli, opadli mię, jak osy. Broniłem się, jak mogłem, konfederackim młyńcem i tak szczęśliwie ,że szable paru napastników ze świstem wyleciały w powietrze, ale prawdopodobnie musiałbym uledz przemocy, gdyby nie nadleciała gromada huzarów francuskich, bo w tem starciu wszystko się teraz pomieszało. Zabrali się oni tak raźno do Prusaków, że paru rozciągnęli na ziemi a reszta uciekła, tylko przy trupie zarąbanego przeze mnie pułkownika został jakiś oficer pruski i, oddając szablę, wołał płaczliwym głosem po francusku:

Poddaję się! Tu leży zabity książę Ludwik pruski.

Wtedy z pośrodka huzarów francuskich wysunął się major, jakem się później dowiedział nazwiskiem Campo-Basso i zawołał:

— Jakto? To jest książę Ludwik pruski?

— Tak, panie majorze! — odrzekł oficer pruski.

— Kto go zabił?

— Ten oto oficer! — odparł Prusak, wskazując na mnie.

Major Campo-Basso zwrócił się do mnie, wlepił swe czarne, palące oczy i pytał:

— To pan, to pan porąbałeś księcia?

— Ja, panie majorze, ale nie wiedziałem, że to książę. Gdybym był wiedział, to może...

—To co? byłbyś go nie porąbał?

— Nie wiem... Choć on zabił dwu naszych ułanów... najechał na mnie... Musiałem się bronić, nie wina, żem go zwyciężył...

— Ależ, święte Imię Pańskie, któż ci, mój adjutancie, to gani? Na wojnie, jak na wojnie. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Kto waćpan jesteś?

— Polak Rudnicki, adjutant pułkownika Konopki.

— Z pułku lansjerów polskich?

— Tak.

Utworzyła się tymczasem koło nas gromada huzarów francuskich i naszych ułanów, słuchając całej tej rozmowy, przypatrując się leżącemu na ziemi księciu pruskiemu i oficerowi, który klęczał koło zwłok.

Bitwa już miała się ku końcowi. Koło nas nieprzyjaciela nie było. Prusacy, rozbici, w szalonej ucieczce szukali ratunku, zdala tylko dobiegała nas wrzawa boju i rzadkie strzały.

Major Campo-Basso zwrócił się do towarzyszącego mu młodego i paniczykowato wyglądającego oficera francuskiego i rzekł:

— Mój poruczniku, zapisz nazwisko tego dzielnego Polaka. Muszę raport o tem złożyć jenerałowi Lasalle i marszałkowi Lannes.

A obracając się do mnie, dodał:

— Zasłużyłeś panie, adjutancie, na krzyż i będziesz go miał. Już ja w tem jestem.

Skłoniłem się w milczeniu dziwnie jakiś smutny i żałością zdjęty na widok tego księcia królewskiego, który padł z mojej ręki. A major Campo-Basso tymczasem komenderował:

— Czterech żołnierzy niech zejdzie z koni. Zwłoki księcia na płaszczach zanieść do głównej kwatery!

Zawrócił konia i, salutując mnie, zawołał:

— Do widzenia, panie adjutancie! Zdam raport o wszystkiem jenerałowi Lasalle. Dzielnie się spisałeś i na krzyż zasłużyłeś. Do widzenia!

Spiął konia i cwałem puścił się w kierunku wzgórzy, gdzie wrzała bitwa, a raczej rzeź uciekających Prusaków. Ja zaś powlokłem się wolno z uczuciem niewypowiedzianego smutku w duszy za posępnym orszakiem, niosącym zwłoki zarąbanego przeze mnie młodego księcia. Gdy żołnierze z temi zwłokami ruszyli do głównej kwatery, ja skręciłem w bok i skierowałem się ku memu pułkowi, którego lance i biało-amarantowe chorągiewki widać było zdala.

Wojna znów obrzydła mi okropnie. Chwilowe uniesienia, żądza walki i krwi, ożywiająca mię od czasu do czasu, zgasła teraz zupełnie i jechałem zupełnie zniechęcony. Tak przygnębiające wrażenie wywarła na mnie śmierć młodego księcia pruskiego...

— Czemu się nie poddał? — mówiłem do siebie. — Wszak wzywałem go o to.

W takiem to uczuciu, wśród takich pytań, zadawanych sobie samemu, przywlokłem się do mojego pułku, który rozłożył się biwakiem na pobojowisku i dobrze zasłużonego spoczynku zażywał. Pułkownik stanął kwaterą w jakiejś napół rozwalonej samotnej szopie i gdym tam wszedł, zastałem liczne zgromadzenie oficerów pułkowych, którzy, ujrzawszy mię, obstąpili dokoła i wołali:

— Niech żyje waleczny adjutant Rudnicki!

Oczywiście wiedziano tu już o moim trjumfie, jak go nazywano. Pułkownik mię uściskał, Skalski mię uściskał, wszyscy oficerowie ściskali i winszowali, obiecując, że dostanę krzyż legji honorowej. Ogólna wesołość i radość zapanowała, tylko ja jeden się nie cieszyłem, tylko ja jeden byłem smutny i zgnębiony.

Niewątpliwie, gdy dziś o tem wszystkiem na chłodno rozmyślam, w tym moim smutku i żalu było dużo przesady i przeczulenia nerwowego. Wszak ten młody książę zarąbał w moich oczach dwu moich rodaków, na mnie rzucił się z szablą i byłby mię z pewnością zgładził z tego świata, gdyby nie mój młyniec konfederacki. Walka była równa i ten zwyciężył, który lepiej bronią robił. Czegóż tu było się smucić i wyrzuty sobie czynić?

Na szczęście, zaraz nazajutrz wśród nowych marszów, biwaków, życia ruchliwego i czynnego, powoli pozbyłem się mojego smutku i zbytecznej czułości, owszem zapragnąłem nowych bojów i nowych trjumfów. Teraz już jako porucznik wydobyłem Grzesia z szeregów i kazałem mu służyć sobie i pełnić obowiąz-

ki ordynansa. Był to taki zręczny hultaj, że kiedy inni oficerowie w tych ciągłych marszach i nieustannych utarczkach z cofającą się przed nami armją pruską, z głodu nieraz przymierali i zadowoleni byli, gdy mieli kawałek chleba i butelkę piwa, na moim wózku, pod naczelną komendą Grzesia będącym, zawsze znajdowały się rozmaite specjały, kury, gęsi, kaczki, indyki, wino, gorzałka, piwo, a nawet któżby temu uwierzył? cukry i konfitury.

— Skąd ty to wszystko bierzesz? — pytałem.

— Tak sobie... staram się, ażeby panu porucznikowi na niczem nie zbywało.

— Ale skąd bierzesz? Przecie nie kupujesz?

— Ale... będę jeszcze kupował od Szwabów — odpowiadał z oburzeniem. — Co to zresztą pana porucznika obchodzi. Byle było i kwita.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Na czem polega szczęście małżeńskie?

Niezawodnie, że ktokolwiek się żeni lub wychodzi zamąż, pragnąłby być jak najszczęśliwszy w życiu. A przecież tak mało szczęśliwych małżeństw na świecie. I dlaczego? Na pytanie to wielokrotnie starano sobie odpowiedzieć i odpowiadano, a przecież nic się pod tym względem nie zmieniło. Ale zdaje nam się, że nie od rzeczy będzie ciągle sprawę tę poruszać, a przecież może kiedyś i w tym kierunku zmieni się choć trochę na lepsze.

Szeroko po świecie rozeszły się żale żony pewnego bankiera amerykańskiego, pani Beverly Harris, która tak pisze:

„Niczego mi nie brakuje, na każdy zbytek, nawet najkosztowniejszy mogę sobie pozwolić, nikogo o zgodę nie pytając, atoli jednej jedynej mi rzeczy brakuje, czego tak gorąco pragnę: oto chcę być kochaną przez tego, którego to jest obowiązkiem, a tym jest mój mąż. Wielokrotnie, gdy powraca z biura wieczorem, a zapytuję go, czy nie chciałby mi towarzyszyć do teatru, lub na zabwę, odpowiada: Jutro, moja droga! Pewnego razu zapomniał nawet o swoich urodzinach i gdy ja, nie szczędząc trudów ni wydatków, przygotowałam przyjęcie i zaprosiłam przyjaciół, mąż mój nie pojawił się w domu, czem goście moi słusznie się czuli obrażeni. Nadmierna praca mojego męża, ciągłe powiększanie majątku zabija szczęście rodzinne".

Te żale owej bogatej, a przecież nieszczęśliwej pani spowodowały gazety amerykańskie do poruszenia owego pytania, któreśmy umieścili w tytule niniejszego artykułu. Posypały się odpowiedzi, jak z rękawa. Niektóre z nich przytaczamy poniżej.

Oto Ella Wheeler, wielka znawczyni psychologji małżeństwa pisze:

„Kobieta, która zbyt otwarcie okazuje mężowi, że nie może żyć bez niego ani chwili, popełnia wielki błąd. Ona winna przekonać męża, że pragnie zawsze być najbliżej niego, to prawda, ale winna również okazać mu, że potrafi godziwie spędzić czas nawet, gdy on jest zdala od niej, wówczas bowiem u męża rodzi się tęsknota za żoną i pragnienie, by być blisko niej. Mężczyzna natomiast zbyt jawnie ubóstwiany przez żonę czuje się początkowo dumnym z tego, ale wnet duma ta znika, aby ustąpić miejsca pewnego rodzaju znudzeniu, które z czasem prowadzi do szukania rozrywek poza domem. Żaden mężczyzna nie powinien się żenić, jeżeli wie z góry, że będzie zmuszony do przebywania za domem przez dłuższy czas, chociażby ta nieobecność była spowodowana pracą dla utrzymania domu, czy większego dobrobytu. Podobnie żadna kobieta nie powinna wychodzić za człowieka, wiedząc, że ten ją pozostawi w domu samą przez czas dłuższy, nie znalazłszy dla niej odpowiedniego zajęcia, któreby ją powstrzymało od szukania rozrywek, zagrażających spokojowi domowemu. Dwoje małżonków nie powinno kontrolować się zbyt skrupulatnie. Są żony, które od chwili zamążpójścia zajmują stanowsko czujnej strażniczki postępków swojego męża. Podobnie postępują niektórzy mężowie swoich żon. Taki sposób bronienia spokoju i szczęścia domowego przyczynia się właśnie jak najwięcej do unicestwienia go".

Nie mniej interesującym od przypadku pani Harris jest przykład małżonków Kendall. Oboje byli ludźmi z najlepszego towarzystwa i wzorowymi małżonkami, a przecież nie czuli się szczęśliwymi. Przyczyna leżała w różnicy upodobań i charakterów. Doszło do tego, że zdecydowali się na rozwód. Rozeszli się i oboje zawarli nowe związki małżeńskie z osobami sobie odpowiadającemi i obie pary czują się szczęśliwe. Po swojem doświadczeniu życiowem pani Kedall daje kobietom takie rady:

„Starajcie się, o ile możności, nakłaniać do upodobań waszego towarzysza. Nauczcie się tego, co on lubi, noście suknie, które się jemu podobają, dobierajcie przyjaciół i towarzystwo takie, któreby było miłem i dla niego. Jeżeliby mąż chciał wam ofiarować coś nawet zbyt kosztownego, nie sprzeciwiajcie się temu nigdy, nie pozwalajcie natomiast, aby się zbyt przejmował swojemi sprawami. Nie dopuszczajcie nigdy, aby szczęście wasze było zakłócone kłopotami pieniężnemi, starajcie się zawsze rozchmurzyć czoło waszego męża, rozerwać jego przykre myśli czemś nowem i nie stać się dla niego nigdy zbyt mało interesującą. Najważniejszą rzeczą jest razem żyć, razem się bawić, razem myśleć".

Profesor Galidan pisze w swej książce p. t. „Psychologja małżeństwa": „Umiejętność zachowania dla siebie miłości męża jest sztuką, którą wszystkie kobiety powinny poznać. Wierzę, że nieszczęśliwe małżeństwo jest po największej części z winy niezrozumienia ze strony męża pragnień i uczuć żony. Atoli w wielu wypadkach winę ponosi kobieta, zwłaszcza, gdy chce rywalizować z mężem na niewłaściwym terenie. Niestety wymagania żon co do postępków męża idą tak daleko, że chcą one poznać, jak on spędza każdą godzinę poza domem. Każdy z nas zna mężów, którzy zaniechali studjów, opuścili miejsca zebrań, niewinnej rozrywki z przyjaciółmi, bo to zdawało się zakłócać spokój domowy. Są kobiety, których słodycz usposobienia, uprzejmość i uległość istniejące przed małżeństwem zmieniają się w ostre krytyki, śmieszne pozy dramatyczne i częste sceny w atmosferze ustawicznej wojny. Jeżeli żadne z małżonków nie chce się wyzbyć własnego egoizmu, to nie da się uniknąć rozterek i kłótni. Musi istnieć stała chęć wzajemnych ustępstw i wzajemnego szacunku oraz wiele cierpliwości".

Jeremy Taylor, sławny filozof angielski, pisze: „Dobra żona jest najwspanialszym darem niebios dla mężczyzny. Ona jest jego aniołem pocieszycielem w chwilach smutku, jej przymioty duszy najcenniejszym posagiem, jej słowa najsłodszą muzyką, jej uśmiech światłem jego dni, jej pocałunek znakiem jej niewinności, jej ramiona ostoją zapomnienia".

KULIG.



Niemal z każdym rokiem zmieniają się ludzie, zmieniają się zwyczaje, zmieniają obyczaje i to, co dziś było zwyczajem, nazajutrz pozostaje tylko wspomnieniem. Ileż takich zwyczajów, w przeszłości ogólnie praktykowanych, obecnie leży w bezpowrotnem zapomnieniu!? Oto weźmy na ten przykład taki Kulig! Dziś dla wielu sama nazwa jest czemś niezrozumiałem, czemś tak bardzo obcem. A przecież dawniej, za polskich czasów był on wszędzie rozpowszechniony. Gdy ziemia ustroiła się w białą szatę, a mróz ścinał śnieżną powłokę, ruszał sąsiad do sąsiada saniami zaprzężonemi w parę ognistych rumaków. Brał ze sobą muzykantów, najczęściej żydków miejscowych, i ruszał do sąsiedniej wioski do brata szlachcica. Tam, po podpiciu starego miodku, wybierało się już dwie pary sań do następnej wioski. Pito i bawiono się, a po skończonej zabawie ruszano dalej i dalej.

Kuligi te nie przynosiły nic dobrego. Szlachta traciła czas na zabawach, a pieniądze rozlatywały się na pijatyki i jedzenie tak, że niejeden, aby dobrze uraczyć przybyłych gości, sprzedawał zboże żydkom, które jeszcze nie wyrośnięte pod śniegiem spoczywało.

Taki właśnie Kulig przedstawia nasz obrazek. Na przedzie mkną sanki wiozące pejsatych muzykantów, obok nich dwaj szlachcice harcują na koniach, a następnie długim sznurem sunie reszta sań, wiozących nieproszonych gości do najbliższego dworu.

Przybywało sań, przybywało osób i często Kulig taki ciągnął się i kilka kilometrów. Muzykanci rzępolili, brać szlachta pokrzykiwała, a szlachcianki zawodziły piskliwym głosem frywolne piosenki. I tak od wsi do wsi, od dworku do dworku ciągnęła szlachta kuligiem, nie powracając często do domu, aż przed zbliżającą się wiosną, kiedy śniegi miały się ku tajaniu.

Gdzie szczęście?

Była młodą, może nietyle ładną, co jakiś dziwny urok posiadającą, wdową tak, że wielu pragnęło ją pojąć za towarzyszkę życia swojego. A i ona nie była od tego, choć z pierwszym mężem nie zaznała szczęścia prawdziwego, to myślała sobie, iż po raz wtóry lepszy wybór uczyni. Nim jednak zadecydowała ostatecznie, postanowiła wszystkich owych starających się o jej rękę poddać pewnego rodzaju egzaminowi, a który z nich najlepiej odpowie na zadane mu pytanie, ten miał być mężem owej wdówki. Zaprosiła ich tedy wszystkich do siebie i tak do nich powiada:

— Który z was najlepiej mi określi, co to jest szczęście, tego żoną zostanę.

— Szczęście jest zadowoleniem — powiada pierwszy. Jeżeli człowiek uczyni coś takiego, z czego jest zadowolony, czuje się zupełnie szczęśliwym. A więc w pracy leży największe szczęście!

— Tak! Praca daje szczęście! — odpowiedziała wdówka. Ale wśród pracy jakżeż łatwo zapomnieć o tej, którą chce się szczęśliwą uczynić.

— Szczęście jest złudzeniem, mrzonką — odezwał się drugi. — Czyż widział kto człowieka, któryby powiedział, iż jest zupełnie szczęśliwy.

— Głupcy tylko nigdy szczęśliwymi nie są! — szepnęła wdowa. — A jeżeli ty zgóry masz się uważać za nieszczęśliwego, to próżne twe o mnie marzenie.

— Szczęście to samotność, to zrezygnowanie z ziemskich rozkoszy, to wgłębianie się w własne „ja“ i poznawanie siebie, — mówił trzeci.

— Samolub — szepnęła wdówka i odwróciła się od niego ze wzgardą.

A czwarty mówił:

— Zdrowie i dobrobyt jest największem szczęściem. Człowiek zdrów i bez kłopotów życiowych może nazwać się zupełnie szczęśliwym.

— Cicha stajenka i obroku do syta — mruknęła wdowa.

— Dla mnie szczęściem prawdziwem — rzekł piąty — jest blask twych oczu anielskich, o Pani! Dla mnie szczęściem to uśmiech twych ustek różowych, to uścisk twej dłoni, to bicie serca twojego. Nie masz szczęścia większego ponad Ciebie, jedyna!

To były słowa, na które czekała.



MACIEK BZDURA GADA:

Tyle skół na świecie, tyle ludzi ucy się rozumu, a przecie jeszcze tyle głupich rzecy jest wszędzie i jakośik trudno znaleźć radę, aby to wszyćki usunąć. Bo może mi kto zaprzecy,, ze takie golenie się to nie jest głupią rzecą? Myślę, ze niejeden z was się golił, to wie, jak to się robi. A więc naprzód przez pół godziny cłek trze pysk mydłem, a potem za dwie minuty mydło to zeskrobie i niema nic. Cy to nie głupia rzec? Albo cy to nie głupia rzec u tych ludzi miastowych, którzy zamiast zjeść porządnego baszcyku na śniadanie, ze dwie ciarapki, wymyślili se jakiesik cudacne kawy. I co one z temi kawami wyprawiają. Oto najpierw grzeją to na ogniu, aby było gorące, a potem dmuchają, aby było zimne. Najpierw do wody sypią kawę, aby to było carne, a potem łeją do tego mleka, aby było białe. Najpierw dają do tego cykorję, aby to było gorzkie, a potem sypią cukier, aby było słodkie. I cy to wszyćko mądrze zrobione? Cy to nie głupia rzec?

Jak juz gadka o głupich rzecach, to juz musi się powiedzieć przy tem i o nasych posłach. Wiadomo, ze to teraz wybory i ludzie zacynają o nicem innem nie myśleć, ino o wyborach. A cy to takze nie głupia rzec? Najpierw chodzi się na wiece i zgromadzenia, gada się i gada bez wytchnienia i kropki i robi się wszyćko, aby ten a nie inksy został wybrany posłem. A jak ino zostanie wybrany ten, kogo się chciało, zeby został wybrany, to zaraz się na niego wygaduje, ze cymbał, ze złodziej i jeszcze gorse rzecy. Cyby to nie lepiej było tak nikogo nie wybierać, a kiedy padają starsi, ze dziadek dobrze rządzi, to niechby on tak sam se wybrał takich, jakichby mu się podobało się i byłoby wszyćko w porządku. Wtenczas ludzie nie pyskowaliby na posłów, ino na samego dziadka, a dziadek nicby sobie z tego nie robił i byłoby tak, jak onby chciał. Zreśtą mnie się widzi, cy ludźie wybierą takich, cy takich posłów, to będzie tak, jak będzie chciał dziadek, bo on wie najlepiej, cego krajowi potrzeba.

Kiedym juz zesed na wybory, to musę się poskarżyć na Kaśkę, która bez wybory chce se na wiano uciułać. Powiada, ze za urodę jej nie dałby nikt ani osiemnastu grosy, za jej cnotę ani połowy tyle, to i skądze chudzina ma wydrzeć jaki gros na opowiedzi i na wiano? — a poniewaz w zesłą niedzielę po nieszporach jakiś z Krakowa urządził w Psiej Wólce wiec przedwyborcy i na nim gospodarzom gruntowym obiecywał gruski na wirzbie, raj na ziemi i inkse scęśliwości, to lacegózby takiej chudzinie, jak Kaśka, nie miał dać choć parę złotych za jej głos. A ma choroba głos jak byk! Tak tedy w poniedziałek przychodzi Kaśka i pada do mnie:

— Wies, Maciek, jak juz trzeba koniecnie dać, to łepsiej swojemu i po znizonej cenie, anizeli obcemu. Więc jezeli chces i das pięć złotych i to zaraz, to przy wyborach cwartego marca dam ino na ciebie głos.

Ba — myślę se — kuzden głos, choćby i takiej Kaśki, to przeciez coś znacy, a ileby to miljonów głosów takich Kasiek trzeba zebrać, aby wyrównały znacenie głosu jednego mądrego cłowieka. Bo przecie mi się w to wierzyć nie chce, co powiadał ten łapidusa z Krakowa, ze tyle warta głos Kaśki Myrdalonki, co i mój, co i nasego organisty, co i nasego prefesura, ale nawet takze tyle, co i głos samego jegomości. Moze on gadać komuś głupsemu, ale nie mnie. Gdziezby tu była sprawiedliwość, aby taka głupia Kaśka tyło samo znacyła, co naprzykład ksiądz probosc, który tyle lat się rozumu ucył i od niego, choć dopiero ma styrdzieści lat, do cna wyłysiał. Ja to se to tak myślę, ze na jeden głos księdza probosca trzeba półtora głosu prefesurowego, jako ze to jesce chłopak młody, dwadzieścia organistowych, ze sto gospodarzowych, a już chyba z półtora miljonów takich głosów, jak Kaścyn. Bo trudno przecie uwierzyć, aby taka dzieucha, co próc wydojenia krów, ugotowania zimniaków i wyprania portcąt, na nicem inksem się nie rozumi, miała taki sam wazny głos, jak jegomość, którzy lepiej gadają po niemiecku i łacińsku jak dziesięć Kasiek po polsku.

Powiedziałem to temu przybłędzie z Krakowa, a on mi na to odparł, ze to juz jest taka demokratycna równość! Do cholery z taką równością, coby pastuch był równy gospodarzowi!! To samo powiedziałem i Kaśce, ale ona się rozeźliła na mnie za to, ze jak powiada, ona do mnie z całą otwartością, a ja ją postponuję i nizej od królewny stawiam. Nie chciała gadać ze mną, ale powiedziała, ze na drugą niedzielę o wszyćkiem powie w „Roli", bo jej juz malarz gębę odnowił i za tydzień sie wysusy.

Ano, niech gada, a ja se po katolicku na przypiecku odpocnę i rozmyślę, cy jej dać te pięć złote, cy je lepiej na buty schować.

„*Jak baśń wieczorna*".

Zmrok zapadł już na dworze
Pochłonął ziemię, gaje...
Jak smutno, cicho — Boże!
Coś duszy nie dostaje.

Lampka na stole płonie,
Jak gwiazdka w noc srebrzystą...
Śnieg biały na zagonie
Okryty nocką mglistą.

A dusza tęskni, leci
Może w błękity — może
To znów wspomina — świeci
Lata dziecinne — Boże.

Aż wreszcie świat nieznany
Staje przed moją duszą;
Jak baśń i nieskalany —
Schwycic je oczy muszą!

Tu baśń „Sobotnia góra",
Tu Maciek Bzdura gada,
Tu znów piosenek chmura
Do oczu moich wpada.

I jakiś świat nieznany
I jakaś inna dola...
I czysty, nieskalany —
To nasza, nasza „Rola".

Wincenty Kuglin.

Zabawa słoni.



Nietylko ludzie bawić się potrafią, o nie! Umieją to doskonale czynić i zwierzęta, a czynią to częstokroć ładniej i kulturalniej, aniżeli król wszelkiego stworzenia: człowiek. Obserwujemy nieraz harce kotów i innych czworonogów. Ileż tam w ich zabawach zręczności, pomysłowości, a nieraz i dowcipu. A zawsze wśród tych zabaw panuje delikatność i to delikatność częstokroć większa aniżeli u ludzi. Kot kotka podczas zabawy nigdy nie ugryzie, krówka krówki nie ubodzie. Inaczej, jak u ludzi, u których częstokroć początkowo niewinna zabawa kończy się krwi rozlewem. A przyczyną tego jest to, że zwierzęta są abstynentami, że do zabawy nie używają alkoholu, bez którego u ludzi prawie obejść się nie można.

Na obrazku naszym widzimy taką zabawę słoni. Zapewne „tatuś“ i „mamusia“ postanowili swojemu „kaniackowi“ sprawić uciechę. Nie mają oni rąk, aby dziecięciu sprawić huśtawkę i pobujać je w powietrzu. Dlatego też wyciągnęli swoje długie trąby, a zaczepiwszy nimi mocno, podsunęli je pod swego jedynaka, unieśli nieco w górę i rozpoczęli huśtanie. Mały pędrak, jak to zresztą bywa zwykle u dzieci, najadł się początkowo strachu, więc też uczepił się silnie przedniemi łapami za trąby rodzicieli. Ale gdy widział, że krzywda żadna go nie spotyka, bujał sobie z rozkoszą w przestrzeni ku wielkiej radości swoich rodziców.

Rzeczywiście ładna to scena miłości rodzicielskiej nawet u nierozumnych zwierząt.

Uśmiech z przeszłości.

(Nowela).

Był ślepy i widział już tylko to, co mu przynosiły wspomnienia. Nazbierał ich po drodze żywota liczbę wielką, bo stary był już bardzo. Tak o nim wsród żyjących zapomniano, że dziwiono się, iż nie był jeszcze w grobie.

On sam się temu dziwił, bo zostało mu to, co młodzi nazywają szczęściem starców, a co jest ich niedolą: zupełną przytomność umysłu.

Pamiętał i rozumiał wszystko, czuł najlżejsze odcienie. Otaczała go wieczna noc, ale słuch jego zaostrzył się do tego stopnia, iż prawie nim rozróżniał przyjazne lub niechętne spojrzenia, prawie nim widział życzliwe uśmiechy lub lekceważące ruchy ramion.

Nogami ledwo włóczył, miano go za wpółumarłego, a on żył pełnią myśli, tęsknot, bolów, uczucia, co spycha duszę ludzką w najczarniejszą otchłań cierpienia, gdy na pociechę nie umie już ono wydobyć z siebie słonecznego promienia nadziei.

Promienia tego nie miała dusza pana Szczepana.

Wszyscy ci, których kochał, leżeli już pod mogiłami cmentarzy, a trapiła go wieczna niepewność, czy duch jego połączy się z ich duchami i czy istnieje tajemnicza kraina pozagrobowa...

Siedział w narożnym pokoiku, który mu wnuki jego na mieszkanie przeznaczyły. Ruch domowy, bieganie zwinnych nóg, rozmowy, śmiechy, nuta granego walca, to wszystko dochodziło uszu jego powikłane, a jednak tworzące obraz wyraźny, obraz kipiącego życia, wesołego pośpiechu młodości, jej naiwnego egoizmu, ślepej wiary w jutro.

Ta młodzież płynęła raźno samym środkiem prądu, a on rozbitek tej przeszłości, która już cała pogrążyła się w cień, patrzał z brzegu nieruchomy i smutny.

Drzwi się otworzyły, weszła Marja, wnuczka pana Szczepana.

— Dziadziu — ozwała się — tak nam przykro, że musimy w sam dzień twoich imienin i urodzin zarazem...

— Ale owszem, moje dziecko, wiem, że musicie być dziś na balu w Sokalu.

— Mieliby nam za złe... liczą na nas...

— Jedźcie, jedźcie! Nieznośną byłaby mi myśl, żem wam był zawadą i przeszkodą do zabawy.

— Dziadunio tak sam zostanie...

Czy on nie był zawsze sam? sam wśród swoich wspomnień, wśród swoich umarłych...

Przed odjazdem wnuki przyszły go pożegnać. Drażliwe ucho jego dotkniętem zostało niezgodnością wesołych śmiechów, budzących wszystkie echa domowe, z konwencjonalnem: „tak nam przykro dziadziu... chętniebym została, gdyby...“

Pan Szczepan usłyszał dzwonki oddalających się sanek, wiedział, że służba po odjeździe państwa rozbiegnie się, że zabraknie opieki jego niedołęstwu; ale ani cisza, ani osamotnienie nie przestraszały go. Zawołał parę razy „Baśka“! nie odpowiedziało mu jednak przyjazne miauknięcie. Baśka była właśnie na dalekiej wyprawie po myszy dla swoich kociąt. Pan Szczepan nie miał więc żadnej istoty żywej koło siebie, wspomnienia opadły go jak rój pszczół, należał do nich jak łódź tonąca należy do morza. Nic ich nie przerywało, żaden odgłos nowego życia.

Koło starca zaroiło się życie dawne, ubiegłe... Szarpnęły jego sercem cierpienia stare, stare bóle... Sumienie z dna duszy jak z grobu, wydobyło czyny i intencję... Żaden uśmiech szczęścia niezamąconego późniejszym bólem, zdradą, rozczarowaniem, nie wyjrzał z tej przeszłości do pana Szczepana. Kochał

niegdyś całą potęgą uczucia kobietę, której mężem zostać nie mógł. Ożenił się potem bez miłości dlatego, że się czuł kochanym. Był pewien, że przywiązanie przyjdzie wraz z przyzwyczajeniem, że świętość zadzierżgniętego węzła, urok własnego gniazda, zwycięży wspomnienia, zrodzi uczucie nowe... Ale ani przyzwyczajenie ani miłość nie przyszła. Pan Szczepan czuł dotąd niesmak udawanego uczucia... ciężar łańcucha. Tak on przeżył długie lata męki u boku istoty, której pocałunki męczyły go i nudziły, której milczenie go niecierpliwiło, której rozmowa go drażniła, która się tem dalszą stawała jego sercu, im mu ją bliższą czyniło życie. Była matką jego dzieci, a jednocześnie tak mu obcą, iż się siebie zapytywał często, co ta kobieta robiła w jego domu. Był przez wszystkich uważany za wzorowego męża i sam jeden tylko na świecie wiedział, co go kosztował każdy dany jej uśmiech, każde przemówione do niej słowo.

Przez lat trzydzieści życie jego było pasmem kłamstw i udawania. O, w szlachetnym celu, ale kłamstwo choćby pobożne zostawia zawsze niezadowolenie uczciwym ustom, które do niego zmuszone zostały.

Pan Szczepan niezadowolenie to odczuł nawet teraz, gdy już na mogile niekochanej małżonki miały czas wyrosnąć ogromne brzozy, zwieszające gałęzie aż do samej ziemi. A dzieci? Kochał je z całej duszy, choć go zawsze raziło ich podobieństwo do matki. Kochał, ale mu przyszło, jemu starcowi opłakiwać je. Odeszły pierwsze, zostawiwszy go wśród wnuków, których tylko dziecinne twarze pamiętał. Pan Szczepan załkał cicho. Oczy jego nie widziały już nic oddawna, ale jeszcze łzy wylewać umiały. Płakał długo wśród ciszy pustego domu, a obrazy przeszłości przeciągały przed nim smutne, gdy każde wyzierało z pod grobowego kamienia.

Nagle pan Szczepan uśmiechnął się. Uśmiech nie odbił się wprawdzie błyskiem w zagasłych oczach, ale osuszył z nich łzy. Starzec, którego otaczał i dreszczem przejmował zimny grudniowy wieczór, ujrzał nagle piękne majowe słońce, zieloność drzew i trawników, uczuł przejmującą powietrze woń wiosennego dnia... Stał na ganku dworu, w którym płynęło mu życie małych codziennych nędz, w którym krzątała się kobieta dobra, beztaktowna, nudna i wiecznie na ból zębów cierpiąca... Nie pamiętał o tem wszystkiem w tej chwili. Na dziedzińcu dworu stała gromadka ludzi wybladłych i wynędzniałych; ale z błyskiem nadziei w oku. Opodal, z ogromnego, na wielkich wilkach żelaznych ustawionego kotła, buchała para, której woń radowała więcej pana Szczepana, niż ta, którą w ogrodzie rozlewały bzy całe w kwiecie... Patrzał; każdy z wychudłych biedaków miał w ręku dużą miskę. Po kolei zbliżali się do kotła. Każda miska napełniała się gorącą zupą, do której dawano kawał chleba... Biedacy odchodzili, błogosławiąc głośno. Pan Szczepan rozróżniał twarze. Znał je, bo codziennie przez cały przednowek sprawiał sobie rozkosz asystowania przy rozdawaniu zupy. A, otóż jest i stara Maciejowa z wnuczką, i Bartek tak mizerny, tak osłabiony, że pracować nie może choć się ziemia prosi o pracowite ręce... przybył niedawno z innej wsi, i Walkowa z bliźniętami, dla których w piersiach ma zaledwie kilka kropel mleka... Jakże ją te bliźnięta męczyć muszą okrutnie! Dla niej trzeba podwójną porcję zupy... A... otóż i poczciwy Wojciech lepiej przecie wygląda, a już tylko były skóra i kości. Wszystkie oczy zwracają się na pana Szczepana. „A niech też panu Pan Bóg da wszystko dobre! Niech da doczekać wnuków i prawnuków! Sto lat życia dla takiego dobrego pana! Sto lat! Może to owo życzenie sprawiało, że do grobu dojść było mu tak daleko! Ale ci ludzie dawali życzenie w przekonaniu, że były najlepsze... Pan Szczepan uśmiechnął się znowu. Na skraju dziedzińca spostrzegł Marcina, owczarza, z ręką pod brodą, zadumanego smutnie. „Co tam Marcin powie?“ „A, dopraszam się łaski pana... toć to zgroza, żaden pan na okolicę tego nie robi... codzień daj barana i to daj dobrego, tłustego!... toć w końcu i baranów nie stanie... Grochówka przecie i bez mięsa być może... Każdemu miskę strawy, kawałek chleba... nacóż jeszcze i mięso? Czy to ja na rzeź barany z cienką wełną chowam? Jak ma tak być, to ja dziękuję jaśnie panu“. „Tak mój Marcinie, tak ma być!“ „Ale w żadnym dworze tego niema, poco takie zwyczaje wprowadzać“.

„Wiesz co Marcinie, to zwyczaj dawno wprowadzony, to jeszcze Pan Jezus taki zwyczaj wprowadził, że ten co ma jeść, powinien się podzielić z tym, co umiera z głodu“. „Ej, możeby tam umarł kto, a możeby i nie umarł, a co owce wymarnujemy, to wymarnujemy! Niech se jaśnie pan od roku szuka innego owczarza“. Pan Szczepan słyszał oburzony głos Marcina, widział jego oczy rzucające iskry gniewu... Poczciwy, Marcin, odprawił się rzeczywiście od św. Jana, wyrżnąwszy, dzień po dniu przez cały przednowek wszystkie prawie skopy owczarni pana Szczepana. Skór wisiało niemało pod strychem spichlerza, ale ludzie ze wsi mieli siłę ująć za sierp i kosę gdy przyszły żniwa...

— — — — — — — — — — — — — — —

Starzec marzył jeszcze długo nim mu sen skleił powieki. W dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin, gdy myślą żyjącą już tylko w przeszłości, gonił za wspomnieniem pocieszającem, za jednym uśmiechem słodzącym mu nędzę starości i opuszczenia, znajdował tylko czysty bez jednej plamki czarnej, bez jednej kropli goryczy, znajdował dobry uczynek. Wszystko inne w piołun mu się obróciło, opłakiwać musiał to co kochał, tylko chleb dany łaknącym, w kamień mu się z czasem nie zamienił i miał moc kojenia nawet takich smutków, które już tylko grób za jedyną ucieczkę swą mają.

Franciszek Lewandowski.



Myśli.

Czemu ty co rana piejesz koguciku?
Czemu dana, dana zawodzisz chłopczyku?
Bo ja, rzecze kogut, budząc się co rana,
Jak umię, jak mogę, tak wychwalam Pana.
Bo ja, rzecze chłopczyk, nie mam potrzeb wiele,
Zdrów jestem i wesół — śpiewam sobie w siele.

✰

Aleksander Wielki ilekroć skarg słuchał,
Zwykł był sobie ręką jedno zatkać ucho.
Zapytany, coby za przyczyna tego —
Drugie, odrzekł, chowam — dla oskarżonego.

Piotr Wenc.

LUDWIK ST. UNSING.

Wskrzeszenie Łazarza.

— Aleś Ty Bóg... Zlituj się Jezusie — błagał budowniczy i zwolna zniżał się do nóg Proroka. — Zlituj się nad nim Synu Dawida, który nad Elizeuszem czynisz miłosierdzie, który podnosisz upadłe grzesznice i miłość budzisz w sercach skamieniałych. Jezusie Nazarejski! Przyjacielu mój najdroższy, bądź mu miłościw! Nie deptaj uczuć w duszy mej płonących, choćby dlatego, iżem się wyparł obietnic Annasza... Przez miłość dla Ciebie wszystko bym uczynił, a przecz Ty się wahasz spełnić me życzenie?... Przecz milczysz, Synu Boga? Niechaj przezemnie spełni się pokuta, a wróć mu zdrowie Chrystusie?

Słowa błagalnej prośby przemówiły wreszcie do duszy Proroka; podniósł się zwolna i wzniósł swe oczy na niebo, usiane gwiazdami. Przez chwilę słychać



Począł go dotykać i opanowało go błogie wzruszenie.

było szept żarliwej modlitwy i ciche łkanie Łazarza... Potem zwrócił Syn Boży rozpromienioną twarz ku przyjacielowi i rzekł:

— Szymon mu przebacza, ale Ojciec niebieski żąda pokuty, żalu i ofiary... Ja cię upewniam: Tetrarcha nie umrze; żaden go lekarz krom mnie nie uleczy, a serce jego skruszy się przez ciebie, jako zwietrzałe odłamy granitu. I wyzna swą zbrodnię wobec swego dworu, sieroty Szymona otoczy opieką; błyśnie mu w duszy światło miłosierdzia, a wtedy Ja go uzdrowię...

— Dzięki Ci za to niech będą Jezusie! — odrzekł Łazarz i rzucił się w ramiona Jego, pełen radości i uwielbienia...

Długą nieobecnością Proroka zniecierpliwiony Szymon Galilejczyk, podszedł ku nim i rzekł: Nauczycielu, świtać już poczyna, a kiedyż dojdziem na miejsce? — Bądź cierpliwy... I tu się stało ku chwale Syna Człowieczego, — a zwróciwszy się do Łazarza: Idź spocząć, niechaj Imię Moje w ślad ci towarzyszy...

VI.

Zdroju litości.

Pod opieką matki swej Racheli leżał ciężko potłuczony ślepiec, którego znaleźli przechodzący mimo wzgórza robotnicy. Sądzili oni, że Baruch, który lubił piąć się po urwiskach, wyszedłszy na skałę, kędy stał dom Elizeusza, stracił równowagę i runął; a że dostęp na wzgórze dość był przykry i dla widomego, przeto nic dziwnego, że zdarzyło się nieszczęście. Jednakże innego zdania była matka.

Znanym jej był stosunek Barucha z chorą Hannah, jego idealne wierzenia w moc Nazarejskiego Jezusa, a także nienawiść Elizeusza do ślepca z tego powodu, że Imię Proroka często miał na ustach... Pewnego dnia popadł we wściekłość i oto owoc zemsty: Skrzepła krew na twarzy, sińce, opuchnięcia, gorączka...

Syn jej leżał na pół przytomny; z ust wylatywały mu luźne wyrazy do miłosierdzia Chrystusa, przeplatane czasem wspomnieniem o Hannah lub okrzykiem przestrachu: Nie zrzucaj!

Na widok tylu obrażeń, zdarć i krwi, sercem matki owładnął rozpaczliwy żal: Czuła krzywdę, wyrządzoną kalece, a zarazem niemożność jej pomszczenia, — bo i cóż mogła zrobić bogatemu Faryzeuszowi ona biedna wdowa, żyjąca na skrawku ziemi i w pochyłym domu? Zaliż znajdzie sprawiedliwość w sądzie lub w domu Annasza, albo gdziekolwiek u rzymskiego rządu?

Wiedziała, że nie.

Elizeusza znano w świętym świecie, a wszędy gdzieby poszła, wyśmiano by ją i napędzono, zwłaszcza, że powód leżący w osobie znienawidzonego Chrystusa, dostateczną był obroną dla Faryzeusza. Więc zamknęła żal swój w głębi duszy tak samo, jak tysiące równych jej losem ludzi... i opatrywała troskliwie rany swego syna...

Zmierzch już zapadał — z wieżyc świątyni jerozolimskiej trąbili Lewici na Sabath, a chwilę później, wzniosły się hymny Dawida i zapłonęły światła na mnogich świecznikach. Tylko w domu Racheli ciemno było i smutno, w miejsce świec iskrzyły się łzy, osiadłe na rzęsach matki, a zamiast psalmów wydzierały się z ust majaczącego kaleki bezładne okrzyki... I tak mijały godziny.

Od czasu do czasu wlewała mu Rachela w rozpalone usta oranżady z domieszką mirry i chłodziła czoło, poczem rozmyślała dalej nad zawistnym losem, rychło też go zmieni zapowiedziany Oswobodziciel. A krążą o Nim już wieści, zdarzają się cuda i świat biedaków pełen jest nadziei, zachodzi tylko pytanie, zali jest nim ów Chrystus, z powodu którego syn jej doznał obrażenia? A jeśli On jest, przecz nie giną krzywdziciele, przecz ich nie podda pod nogi swoje i nie upokorzy? Wszakże tak trudno znieść już dziś bezprawie, trudno znieść widok płaczącego ludu, wołającego rozpacznie pomocy i trudno ścierpieć kochającej matce, gdy tyrańska dłoń ciemięzcy kaleczy jej syna!

Więc skoroś Ty jest Zbawcą Panie z Nazaretu, przecz nie wnijdziesz jako mściciel z mieczem obosiecznym?

Takie to myśli krążyły po głowie Racheli, nim wreszcie odmówiła przepisane Zakonem modlitwy...

Niebawem nastał dzionek, jak zwykle w Sabath, cichy, uroczysty, a z nim budziła się do życia natura i ludzie.

Purpura wstającego słońca oblewała ponsem krętą, szarą drogę, zarojoną już od pątników, dążących ku świątyni; złociła szczyty pinij i odległe wzgórza i wciskała się przez szczeliny muru do cichej izdebki Racheli.

Ślepiec majaczył ciągle, a nad nim czuwała walcząc ze znużeniem matka, już tylko z trudem mogąca zwilżać spiekłe jego usta... A jednak czuwała — nie siłą ciała, ale siłą ducha i miłości macierzyńskiej, stokroć potężniejszej niż zbrojny legjon rzymski.

Lecz około południa i tych sił już brakło wyczerpanej zupełnie, zwisła głowa bezwładnie i opadała zwolna na krawędź łoża.

Chwilę później z domu Łazarzowego wyszedł Chrystus, w gronie swoich uczni. Aż po furtę towarzyszyły Mu obie siostry budowniczego. Piękna jasnowłosa Marja, którą Prorok wydarł rozpuście i uczynił wstydliwą — i urocza Marta. Obie żegnały Go z serdecznym żalem, a i po nim znać było, że umiłował rodzinę swego przyjaciela, u którego miło mu było przebywać.

Potem zwrócił się ku Górze Oliwnej wolno, ze schyloną głową, jak człowiek, dźwigający ciężar trosk najgłębszych i myślący za cały naród. Droga wiodła obok domku Racheli, stojącego nieopodal Góry, a poza nim rozciągał się uroczy park Getsemane i Elizeuszowe winnice.

Byli już blisko celu, gdzie mogli spocząć w cieniu drzew oliwnych, po nużącym skwarze. Nikt nie przerywał milczenia, raz tylko Prorok ocknąwszy się z zamyślenia, rzucił na domek Racheli spojrzenie, w którem na moment zamigotał dziwny płomień energji, pozatem zdawał się być przygnębionym, jak każdy inny człowiek, któremu skwar słońca dokucza.

Tymczasem w domu Racheli zaszła zmiana. Starania matki nad powróceniem świadomości synowi, nie odniosły skutku, ale za to dokazało tego spojrzenie Chrystusa. Ślepiec odzyskiwał przytomność, w umyśle robiło mu się coraz jaśniej i zdawał sobie sprawę ze swego położenia. Po ciszy zalegającej w około i z echa dolatujących psalmów poznał, że dziś jest Sabath, dzień święty, w którym spełnić się miały jego marzenia. I rozkoszować się począł wspomnieniami, uderzyły nań wszystkie wyobrażenia, wszystkie nadzieje tłumione w sobie od szeregu dni, jako jeden grom. Czuł, że Boski Prorok jest dziś w miasteczku, ba nawet na Górze Oliwnej, kędy spoczywa osłoniony cieniem cedrów. Chciał się dźwignąć i pójść za głosem przeczucia, ale nie szło zrazu. Miał jeszcze na pamięci ów straszny upadek ze skały, opatrzonej w ostre złomy, o które pogruchotał kości; tu i ówdzie odzywało się jeszcze kłujące strzykanie lub piekący ból. Omackiem dosięgnął ręki śpiącej Racheli, poczem przycisnął ją do ust i prosił: Matko, zbudź się! Na Górę mnie woła Prorok, powiedz Mu, że leżę cierpiący i ona leży w domu Elizeusza chora od lat pięciu.

Regularny, głęboki odech śpiącej, był mu odpowiedzią, więc powtórzył głośniej swe życzenie i silniej wstrząsnął jej ręką — wszystko naprożno. Bezradny leżał jeszcze jakiś czas, ale gdy pomyślał, że wszystkie nadzieje spełznąć mogą na niczem, począł próbować własnych sił, zali będzie mógł powstać z łoża i dowlec się na Górę. Na próbach zeszedł wieczór, noc już nastała nim wreszcie dźwignął się z posłania i chwiejnym krokiem wyszedł na ulicę. Chłodno już było, wokoło szumiały smętnie drzewa, wiatr niósł tumany kurzu ponad domy i wzgórza, ale niósł także słodką pieśń nadziei, którą poiła się dusza kaleki. Nie czuł chłodu nocy, ani dojmującego kłucia potłuczonych kości; albowiem pchała go słodka nadzieja z siłą urągającą wszelakiej niemocy.

Wkrótce dosięgnął Góry; znał tu każdy krzew i ścieżki, wiedział też gdzie jest dogodne miejsce na spoczynek, wolne od działania wiatru, na którem pątnicy dążący do świętego miasta na uroczystość Paschy gromadnie zwykli sypiać, a i w noce zwyczajne nie brakło tam ludzi. Tem tylko się trapił, jak z pośród grona śpiących wyszuka Proroka ,którego nigdy nie dotknął i widzieć nie mógł z powodu ślepoty. Kogo o to zapyta i kto go doń zawiedzie? Nie wiedział.

Na los nadziei szedł więc naprzód, a dosięgnąwszy polany, otoczonej rondem starych drzew oliwnych, krzewami mirtu i nardu, gdzie zwykli sypiać bezdomni lub pątnicy — nasłuchiwał. Istotnie spali tam ludzie; po oddechu mógł odróżnić wiek nawet... ale któryż z nich jest Prorokiem, który Cudotwórcą? Niepewność przygnębiała go. Tu człowiek, tam dwu, ówdzie znów jeden, a wszystkich dotykał kolejno w tej wierze, że przecież Prorok będzie się różnił od innego człeka.

Podszedł kilka kroków naprzód, potem znów kilka, począł nawet nawoływać, zrazu nieśmiało cichutko, nikt nie odpowiadał.

A jednak nadzieja popychała go naprzód. Poza wolnem miejscem, kędy spali ludzie, był wzgórek, opierający się o rozłożyste cedrowe drzewo, szumiące pięknie i przedziwnie... Tam także spał człowiek. Począł go dotykać, lecz zaledwie ruszył zwisającej szaty, jakiś niewypowiedziany dreszcz go przeszedł, w głębi duszy, rodziła się czemraz większa pewność, opanowywało go błogie wzruszenie, jakiego nigdy jeszcze nie doznał w swem życiu. I pod wpływem tych uczuć począł całować zwisające nogi śpiącego człowieka.

— Tyś jest o Panie, któregom szukał od tylu miesięcy... Tyś Prorok, Cudotwórca, Jezus z Nazaretu.

A człowiek ów podniósł się zwolna, przetarł oczy, a przyszedłszy do siebie, schylił się przyjaźnie ku klęczącemu kalece, pogładził jasne jego włosy i spytał czule:

— Czego chcesz Baruchu?

— Panie, Ty wiesz wszystko... Córka Elizeusza błaga przezemnie o Twe zmiłowanie. Bądź jej miłościw.

— A dla siebie czy o nic nie prosisz Baruchu? — zapytał rozrzewniony Prorok.

— Jam się zrzekł dla niej światła moich oczu...

— Zali ci nie żal złocistego słońca, niw pięknych okrytych zielenią i wonnych kwiatów, którymi Ojciec niebieski przyozdobił pola? Nie żal ci, iżeś nigdy nie widział bliźniego, ani wdzięcznego oblicza twej matki, niś doświadczył rozkoszy miłego spojrzenia?

— Żal mi... żal mi tego dobrotliwy Panie!

— Więc powiedz szczerze, o cobyś mnie prosił?

Baruch milczał chwileczkę, ale ośmielony dotknięciem Proroka rzekł:

— Gdybym wypróbował serce chorej Hannah, gdybym wiedział, że nie odtrąci od siebie ślepego kaleki, gdy łaska Twoja, zdrowie jej przywróci... Ach, błagałbym cię Panie o litość nademną!

Chrystus uśmiechnął się dobrotliwie.

— Jesteś podejrzliwy mój dobry Baruchu; a jeśli chcesz wypróbować serce chorej Hannah, niech się stanie jako pragniesz! Jeśli ona wnijdzie w dom twój mimo twej ślepoty, chcę, abyś przejrzał!

Pełen szczęścia Baruch objął powtórnie nogi Zbawiciela i całował je namiętnie, długo; a Chrystus włożywszy ręce swe na głowę jego, rzekł:

— Błogosławionym bądź ty i matka twoja. Wracaj szczęśliw w progi domu swego i ufaj, oblubienica twoja jutro będzie zdrowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Gospodarz powinien uważać, aby na oziminach nie utworzyły się skorupy lodowe lub duże pokłady śniegu, gdyż w tych miejscach ozimina z braku powietrza wygnije. Należy więc powłokę lodową lub łachy śniegu połamać bądź ciężką broną lub przepędzeniem koni lub innego bydła. W razie bardzo dużych śniegów należy śnieg przekopać rowami, rozrzucając wybrany śnieg wokoło.

W tym miesiącu kończymy młockę zboża i czyścimy ziarno. Wszelkie chwasty zbożowe segregujemy i te, które możliwe do użytku mielemy i spasamy zaś resztę wysypujemy na kupy kompostowe, posypujemy obficie wapnem, aby niszczyć w nich zdolności kiełkowania. Żadnych zmiotków w czasie czyszczenia zboża nie wolno rzucać do nawozu, gdyż w ten sposób zachwaszczamy pole.

Na zasiew przygotowujemy najlepsze ziarno, lub zamawiamy nowe odmiany doborowe.

Ważną jest rzeczą w gospodarstwie utrzymanie zdrowotności u bydła, a utrzymamy ją tylko przez odpowiednie karmienie i wypędzanie codziennie na podwórze i dobre wietrzenie stajni. Nawet silne mrozy nie szkodzą bydłu, zaś nieczyste i zużyte powietrze szkodzi bardzo.

Z nowym rokiem należy zamknąć rachunki gospodarcze za rok ubiegły i przeprowadzić kalkulacje i obmyśleć plany na rok przyszły.

W sadzie chronić młode zwłaszcza drzewka przed zającami, smarując je gliną zaprawioną naftą. W dni ciepłe czyścić korę drzew drucianą szczotką, zbierając starannie wszelkie liszki, jajeczka i odpadki i te po zebraniu starannie palić, aby się z wiosną nie rozmnażały szkodniki. Gęste korony należy przecinać tu gdzie gałązki się krzyżują, tak samo należy usuwać gałązki suche lub chore.

W ogrodach warzywnych niema nic do roboty, gdyż ziemia odpoczywa przykryta śniegiem. Ale należy poczynić przygotowania, na które by później czasu nie starczyło.

Przejrzeć kopce, czy myszy się nie gnieżdżą i czy zadołowane warzywa się zagrzały. Piwnice w dnie pogodne i słoneczne przewietrzać zwłaszcza w których złożone są warzywa i owoce. Zgnite lub nadpsute warzywa lub owoce usuwać, aby od nich nie psuły się inne.

W pasiekach uważać, aby się do uli nie dostały myszy. Odpędzać ptaki od uli zwłaszcza sikory, aby pukaniem w oczka nie niepokoiły pszczół zimujących, które w tym czasie wymagają jak największego spokoju.

Robić nowe postępowe ule i przygotowywać węzę sztuczną.

Czytać w długie zimowe wieczory dobre pouczające książki, lub przepędzać czas, słuchając gospodarczych odczytów i wykładów przez „Radjo“, które to odczyty kilka razy na tydzień są wygłaszane.

Jan Matysik.

Poradnik lekarski.

Zapalenie prawdziwe. Zapalenie prawdziwe różni się od kataralnego, przez swe samodzielne powstanie rozległe, które obejmuje całe płuca. Gdy w zapaleniu kataralnem, pęcherzyki płucne przepełnione są głównie masą flegmistą, to w zapaleniu prawdziwem napełniają się wydzieloną z krwi materją włóknistą czyli fibryną. Przyczyną prawdziwego zapalenia płuc jest t. zw. podwójny bakcyl Fränkela, lecz sam nie powoduje zapalenia. Drugą zaś przyczyną jest zaziębienie, które powoduje zakłócenie w krążeniu krwi. Objawy: boleśnie odczuwamy kaszel, kłócie w bokach, silna gorączka. Charakterystyczne przytem są plwociny, ciągłe, lepkowate i zmieszane z krwią. Leczenie: należy przedewszystkiem przestrzegać wszelkich przepisów lekarskich. Leżenie w łóżku i zupełny spokój nawet w lekkich wypadkach jest niezbędnie potrzebny. Chłodne okłady sporządzone z mokrego ręcznika, przez który przechodzi nieprzemakalna powłoka, są bardzo dobre ze względu na wysoką temperaturę jak i przeciw kłójącem boleściom. Przy wysokiej gorączce należy okłady często zmieniać.

Zapalenie opłucnej. Błona gładka, przechodząca na oba skrzydła płucne i okrywająca je, nazywa się opłucną (po łac. pleura), zaś jej zapalenie pleurytami. Są dwa rodzaje tej choroby: suche i płynne. Najczęstszą przyczyną jest zaziębienie, również choroby zakaźne jak: żarnica, szkarlatyna, dyfterja, a przedewszystkiem gruźlica. Objawy: ogólne niedomaganie, znużenie i depresja, przyczem zjawiają się silne dreszcze jako zwiastuny febry, kaszel, kłójący ból w piersiach, utrudniający oddech. Leczenie: przy suchem zapaleniu opłucnej wystarcza zazwyczaj leżenie w łóżku, okłady i środki zapobiegające kaszlowi. Przy mokrem zapaleniu opłucnej konieczna jest pomoc lekarska.

Zapalenie płuc kataralne. Zapalenie płuc jest bardzo częstą i niebezpieczną chorobą. Są dwa rodzaje zapalenia: kataralne i prawdziwe. Pierwsze występuje zwykle u starców i dzieci, a jest następstwem poprzedniego zapalenia oskrzeli czyli rurek oddechowych. Samo zapalenie kataralne nie jest śmiertelne, lecz ze względu na następstwa, a mianowicie gruźlicę, powinno się je starannie leczyć. Leczenie: chory wymaga wielkiej opieki. Skutecznemi są letnie kąpiele i wilgotne owijania (23—25° R.). Pozatem należy się zastosować do przepisów lekarskich.



KRONIKA.

Od Administracji. Wszystkich PP. Prenumeratorów, którzy prenumeraty jeszcze nie odnowili, prosimy aby się z odnowieniem pospieszyli, celem uniknięcia przerwy w dalszej przesyłce „Roli“. Następny numer wyślemy już tylko tym, którzy prenumeratę nadeślą.

Wójt zamachowcem. W dniu 13 grudnia ubiegłego roku dokonano w Myscowej koło Krosna, zamachu morderczego na tamtejszego leśnego, Jana Wciślaka, którego nieznany sprawca usiłował pozbawić życia trzema wystrzałami, oddanemi w nocy przez okno. Tuż przed świętami dokonano na Wciślaka nowego zamachu przez włożenie do drzewa opałowego naboju z materjałem wybuchowym. Eksplozja zniszczyła częściowo mieszkanie leśniczego. Zakończone obecnie dochodzenia policyjne dały nieoczekiwany rezultat. Sprawcą obu zamachów okazał się tamtejszy naczelnik gminy Antoni Sysak, który do pomocy używał swojego szwagra Iwana Marputa. Motywem zbrodni była zemsta za zdemaskowanie nadużyć władzy urzędowej, popełnianych przez Sysaka, który wydawał złodziejom lascwym urzędowe poświadczenia, legalizujące pochodzenie kradzionego materjału drzewnego. Obu zbrodniarzy odstawiono do więzienia sądowego w Dukli.

Pożar zwierzyńca warszawskiego. Z Warszawy donoszą: W ubiegłym tygodniu wybuchł pożar w drewnianym budynku parterowym, w którym mieściła się część zwierzyńca miejskiego. W budynku tym było 30 małp, m. i. wspaniały okaz szympansa wartości 10.000 złotych. Pożar powstał skutkiem braku dozoru. Ogień przedostał się z jednego z pieców i objął szybko cały budynek. Wszystkie małpy udusiły się. Na miejsce pożaru zjechały cztery oddziały straży pożarnej, które pożar zlokalizowały. W sąsiedniej przegródce zwierzyńca znajdował się lampart, który został uratowany. Straty spowodowane pożarem są bardzo znaczne.

Niezwykły pojedynek. Z Wilna donoszą o niezwykłym wypadku pojedynku, jaki się odbył w mieszkaniu porucznika 4 D. A. K Jana Pociechuna, pomiędzy nim i studentem lwowskiego uniwersytetu, Bronisławem Krzyżanowskim, synem b. senatora i adwokata w Wilnie. Pojedynek odbył się z zawiązanemi oczyma na małej przestrzeni kawalerskiego pokoju. Obaj przeciwnicy strzelali do siebie na oślep z rewolwerów. Trzema kulami ranny został student Krzyżanowski w piersi, rękę i obojczyk, zaś por. Pociechun był ranny w głowę i ręce. Po strzałach obaj zażądali pomocy lekarskiej pogotowia ratunkowego, które odwiozło rannych w stanie ciężkim do szpitala.

Dziecko pożarte przez wilki. Prasa litewska donosi, że na pograniczu polskiem w miejscowości Łuciany w pobliżu Malat, ziemianka z folwarku miejscowego, powracając saniami z dzieckiem do domu, napadnięta została przez stado wilków. Bezbronna kobieta zacięła konie i poczęła uciekać. Wreszcie konie wyczerpane zupełnie, padły. W oczach matki rozjuszone bestje porwały i rozszarpały dziecko, poczem rzuciły się na nią. Rozpaczliwe jej wołania usłyszeli wreszcie wieśniacy, znajdujący się w pobliżu i odpędzili wilki strzałami. Nieszczęśliwą matkę okropnie pokaleczoną przez wilki przeniesiono do folwarku w stanie nieprzytomnym.

Z butelką wódki do... trumny. W Parkanach na Słowaczyźnie zmarł w tych dniach syn bogatego cygana Horwata. Stary Horwat uchodził za wodza cyganów słowackich. Tytułują oni go księciem i obdarzają go wielkiem poważaniem. Horwat postanowił swojemu synowi, który zmarł na gruźlicę, wyprawić prawdziwie książęcy pogrzeb. Zwłoki ubrano w brokatową szatę i złożono do trumny z drzewa hebanowego, w ręce zmarłego włożono bicz, a do trumny flaszkę wina i flaszką śliwowicy, by zmarły mógł ugościć swoich znajomych na drugim świecie. Na pogrzeb zjechało się tysiące cyganów ze Słowaczyzny i niezliczone delegacje cygańskie z Rumunji, Węgier i Burgenlandu. W pochodzie pogrzebowym postępowało 100 cyganów na koniach, a pieśni żałobne grały 30 kapel cygańskich. Pogrzeb ten świadczy wymownie o ciemnocie wśród cyganów.

Kąsający oficer. Z Ołomuńca donoszą, że zdarzył się tam wypadek, który zdziwił i oburzył całe miasto. W separatce restauracji „Na Hrade“ siedział pewien oficer czeski z kelnerką. Oficer stał się tak natarczywym w okazywaniu swoich afektów, że ugryzł dziewczynę w ucho. Kelnerka wrzasnęła z bólu. Gdy gospodarz przybiegł, oficer był tak oburzony jego zjawieniem się, że się rzucił na gospodarza i ugryzł go w palec. Ostatecznie, gdy kucharz pospieszył na pomoc swojemu panu, rzucił się i na niego, pobił niebezpiecznie i zębami skaleczył go w nos. Dopiero czterech policjantów zdołało szalejącego człowieka skrępować i odprowadzić do aresztu.

„Ty nie będziesz ze mną szczęśliwa“. W mieście Amiens we Francji rozegrała się tragiczna scena w orszaku weselnym na ślubie niejakiego Artura Lenoira, szofera, z panną Bazin Kiedy po ślubie orszak zaproszonych gości z państwem młodym na czele znalazł się na moście, nowożeniec, który kroczył na czele, puścił ramię swej nowozaślubionej żony i oświadczył jej:

— Ty nie będziesz ze mną szczęśliwa, lepiej to odrazu skończyć! (Choć właściwie jeszcze nie zaczął).



Po tych słowach nowożeniec niespodzianie skoczył na parapet mostu i stamtąd rzucił się do rzeki. W ostatniej chwili złapał go za nogę ojciec panny młodej; ten jednak nie zdołał utrzymać ciężaru nieszczęśliwca, który wpadłszy do rzeki utonął, zanim ktokolwiek zdążył mu przyjść z pomocą, nawet jego zwłok nie zdołano odnaleźć. Przypuszczać należy, że młodzieniec ten nie miał spełna rozumu, gdyż inaczej byłby popełnił samobójstwo przed ślubem.

Pomnik patronki Paryża. Paryż nie miał dotychczas pomnika swej patronki św. Genowefy, która w 475 r. ocaliła miasto, zwane wówczas Lutecja, od napadu Hunnów. Obecnie wyznaczono miejsce na pomnik na nowym moście, który wkrótce ma być wybudowany na Sekwanie. Przed półtora rokiem zarząd mostów i ulic powierzył rzeźbiarzowi Landowskiemu, Polakowi, twórcy potężnej statuy Chrystusa Króla w Rio de Ja-

neiro, wykonanie tego pomnika. Artysta dzieło swe niedawno wykończył. Pomnik przedstawia św. Genowefę, mającą przed sobą małą dzieweczkę, która delikatnemi rączkami otacza mały okręcik, symbol ocalonego przez świętą miasta Lutecji.

Skarb w grobie. Przed rokiem mniejwięcej rolnik francuski Marchand w miejscowości Fredcourt za pośrednictwem ogłoszenia w dziennikach poszukiwał „służącej do wszystkiego", wskutek czego zjawiła się kandydatka z Chaumont i objęła natychmiast służbę u p. Marchand. Niedługo jednak spełniała te obowiązki, bowiem w kilka dni później zniknęła, unosząc ze sobą 50 tysięcy franków oszczędności swego pracodawcy. Poszkodowany rolnik udał się natychmiast do Chaumont pod adresem rzekomego dotychczasowego mieszkania parodniowej służącej swej. Jednakowoż wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne. Rozpoczęto śledztwo, które wykazało, iż służąca ta była zawodową złodziejką. Po pewnym czasie udało się ją aresztować. W więzieniu w Chaumont przestępczyni zwierzyła się dwu swoim towarzyszkom, iż owe 50 tysięcy franków zakopała na cmentarzu w Godrecourt, w grobowcu swego ojca. Towarzyszki aresztowanej złodziejki — po ukończeniu odsiadywanej kary swej — opuściwszy więzienie, udały się na cmentarz do grobowca, w którym miał znajdować się zakopany skarb. I na własną rękę zaczęły kopać ziemię. Gdy jednak ujrzały wreszcie trumnę, na widok jej przerażone uciekły. Od tej pory kilkakrotnie już próbowano poszukiwać w dalszym ciągu zakopanych pieniędzy. Wszyscy jednak, którzy podejmują się tej roboty, ogarnięci jakąś niesamowitą paniką przy zbliżaniu się do trumny, uciekają od roboty tej. Nawet sam okradziony właściciel majątku nie ma odwagi doprowadzić kopania w grobie do końca. 50 tysięcy franków w ten sposób pozostaną — zdaje się — na zawsze w ziemi...

Wykrycie skarbu Napoleona. Jeśli wierzyć wiadomościom, nadchodzącym z Nancy, w okolicach Pont a Mousson wykryto skarb o wielkiej wartości. Pewien kupiec, wertując w Metzu starą biblję, natrafił na pożółkły świstek papieru. Zawierał on ostatnią wolę jednego z generałów Napoleona. W testamencie tym generał oświadcza, iż w pobliżu zamku pod Pont-a Mousson zakopane przezeń zostały kosztowności rodzinne i 400 sztab złota, stanowiące własność cesarza Francji. Kupiec nie dał wiary znalezionemu testamentowi pomimo, iż dołączony doń był plan miejscowości, w której skarb został zakopany. Inaczej zapatrywał się na tę sprawę dyrektor muzeum Sadoul, który po zbadaniu testamentu skonstatował, iż jest to bezsprzecznie dokument autentyczny, Wobec tego przystąpiono do poszukiwań. Grupa obywateli Nancy zgodziła się na sfinansowanie przedsięwzięcia, które wszak pociągało za sobą znaczne koszta. Rozkopano spory szmat ziemi wokół zamku w Pont a Mousson, lecz wszelkie poszukiwania były daremne. Wkrótce stracono wiarę w istnienie skarbu i roboty ziemne miały być już przerwane. Pewnego dnia jednak burmistrz Pont a Moussonu otrzymał list z Paryża, którym znany w stolicy amerykański hypnotyzer i jasnowidzący Willev zaofiarował swe usługi celem odszukania skarbu. Do listu dołączony był plan okolic starożytnego zamczyska, który — jak twierdził Willev — nakreślony był przezeń w transie hipnotycznym nigdy bowiem w miejscowości tej nie przebywał. Propozycja Willev była przyjęta. Po przybyciu do Pont a Mousson Amerykanin sporządził wahadło z cieniutkiego drutu, do którego przymocowana była starożytna moneta. Z wahadłem w ręku Willev wędrował po rozkopanym terenie. W pewnem miejscu, które przez poszukiwaczy już było zbadane, wahadło telepaty poczęło działać: moneta silnie się rozkołysała. W tem miejscu Amerykanin polecił kopać. Po 48 godzinach żmudnej pracy natrafiono wreszcie w głębokości dwóch metrów na zardzewiałą skrzynię żelazną, zawierającą ośm sztab złota, ważących po cztery kilogramy. Pomimo, iż dotąd dalszych części zakopanego skarbu nie odnaleziono, poszukiwacze złota nie tracą nadziei, że przy pomocy jasnowidza Willeva odnajdą resztę znajdujących się w ziemi bogactw.

Nagrodzony siłacz. Pewien siłacz, z pochodzenia Szwed, objeżdżając świat, zajechał do miasta Astrachanu, na granicy Azji i ogłosił, że da wysoką nagrodę właścicielowi tej pary koni, która potrafi jego ręce rozerwać. Zbiegali się ludzie i zaprzęgali konie, ale żadna para nie potrafiła dać rady siłaczowi.



Dowiedział się o tem pewien bogaty pan w Bucharze w Azji i obiecał siłaczowi wielką nagrodę jeżeli da radę parze wielbłądów. Siłacz zgodził się i przybył do Buchary. Pan ów kazał zaprządz do każdej z jego zgiętych rąk po jednym wielbłądzie (obydwa były dwugarbne) i na dany znak popędzono przed siebie zwierzęta. Siłaczowi z wysiłku oczy wyszły na wierzch, zdawało się, że mu popękają wszystkie żyły na skroniach i szyi, ale przecie nie dał się; wielbłądy nietylko nie rozerwały jego zaciśniętych rąk, ale nawet nie ruszyły go z miejsca. W nagrodę pan ten darował mu obydwa wielbłądy i dał podarunek pieniężny równający się kilku tysiącom złotych.

Ofiara fałszywego oskarżenia. Gazety niemieckie donoszą o wstrząsającym wypadku, jaki w tych dniach przydarzył się w Graslitz, a którego ofiarą padła zamknięta w tamtejszem więzieniu pod zarzutem podpalenia młoda służąca, Anna Hamm. Aresztowanie to spowodował jej chlebodawca, oskarżając ją o podpalenie. Mimo, że nie dostarczył on żadnych ważkich dowodów, przemawiających za winą dziewczyny, i mimo iż zaprzeczała ona gorąco popełnieniu tej zbrodni, tłumacząc, że oskarżenie to jest ze strony jej pana aktem zemsty za to, iż nie chciała zostać jego kochanką, przetrzymano ją w więzieniu i nie zakończono dochodzenia śledczego. Rozpacz nieszczęśliwej nie miała granic, odmawiała ona pożywienia i zachowywała się jak niespełna rozumu. I oto dnia pewnego kobieta, która siedziała razem z nią w celi i leżała na swej pryczy odwrócona twarzą do ściany, usłyszała nagle jakiś szmer, podobny do plusku wody. Gdy się odwróciła na ten dziwny szum, spostrzegła swą towarzyszkę już konającą w kałuży krwi, W szyji jej tkwił zatopiony tam po sam trzonek ostry nóż, zdobyty przez nią w niewyjaśniony dotychczas sposób. Po rodzaju rany poznać można było, iż nieszczęsna zadała sobie kilka tak głębokich pchnięć, iż przecięły one szyję i tchawicę i nie wydała przy tem najlżejszego jęku. Ironja losu chciała, że w chwilę po

tym wypadku kancelarja więzienna otrzymała z prokuratury rozkaz natychmiastowego zwolnienia dla braku dowodów winy tej ofiary ludzkiej podłości.

Złośliwy figiel męża. W r. 1827 panna Vollstede wyszła za mąż za pewnego Niemca z Brunswiku, który następnie wyjechał na Cejlon, gdzie zmarł. Przed śmiercią zmarły sporządził testament, w którym zapisał cały majątek swej żonie z tym jednak warunkiem, że ma być wypłacony dopiero po stu latach. Majątek ten wynosił 15.000 funtów szterlingów i ulokowany był w jednym z banków angielskich. Obecnie po upływie stu lat suma ta wzrosła do 30 miljonów marek. Spadkobiercami są dzieci i wnukowie zmarłego, których liczba wynosi 250 osób.

Katastrofy wybuchowe w Anglji. Z końcem roku wydarzyło się w Anglji kilka ciężkich katastrof, których powodem były eksplozje. W Manchesterze dwie bezpośrednio następujące po sobie eksplozje zniszczyły wielki dom handlowy, przyczem 5 osób doznało ciężkich obrażeń. Przypuszczają, że powodem nieszczęścia było krótkie spięcie. Początek katastrofy objawił się w ten sposób, że pokład asfaltu na chodniku zaczął się nagle podnosić, bezpośrednio potem nastąpiła detonacja, rumowisko, kamienie i odłamki szkła wyleciały w powietrze. Jeden sklep zawalił się zupełnie. Zbiegli się przechodnie, gdyż sądzili, że właściciel interesu i jego żona zostali gruzami zasypani. Nagle nastąpiła druga eksplozja. Z ratowników pięć osób zostało wyrzuconych na ulicę i ciężko poranionych. Natychmiast zjawiła się straż pożarna i pomoc lekarska. Rannych przewieziono do szpitala. Wskutek wstrząśnienia terenu nie można było w najbliższem sąsiedztwie korzystać z gazu i elektryki. Cała ulica zawalona została gruzami i rumowiskiem. Podobna eksplozja zdarzyła się w miejscowości Hamilton w Szkocji. Tam zawalił się wskutek eksplozji gazu kilkupiętrowy dom. Mieszkańcy przeczuli już coś niedobrego wskutek ostrego zapachu gazu i rozpoczęli w kamienicy poszukiwania miejsca, z którego on uchodzi. Nagle nastąpiła eksplozja. Wiele osób zostało zasypanych, ale z tych tylko dwie osoby zostały ciężej ranione. 39 osób zostało bez dachu, wśród tego 26 dzieci. Wskutek trzeciej eksplozji w Huddersfield zginęło cztery osoby. Przebieg katastrofy był następujący: Rodzina nazwiskiem Heigt została w nocy zbudzoną przykrym zapachem gazu świetlnego. Najstarsza córka zapaliła zapałkę. W tej samej chwili buchnął olbrzymi płomień. Matka i córka rzuciły się do ucieczki, trzy małe siostry zostały na miejscu. Ale starsza córka powróciła do domu, by wyratować rodzeństwo. Słyszano jeszcze jej rozpaczliwe krzyki o pomoc, potem uciszyło się wszystko. Później znaleziono zwęglone zwłoki rodzeństwa. Eksplozja była tak silna, że całe piętro się zawaliło. Matka, która odniosła ciężkie rany na całej twarzy, dostała obłędu. Ojciec jest nocnym stróżem i podczas nieszczęścia pełnił służbę w mieście.

Męczeństwo kawalerów. Opinja publiczna uważa stan kawalerski za jakiś rajski błogostan, wolny od trosk, zgryzot, dodatku urzędniczego na dzieci i teściowej. A jednak rada belgijskiego miasta Brabancji jest innego zdania. Oto burmistrz tego miasta wniósł na posiedzeniu rady miejskiej projekt wprowadzenia podatku kawalerskiego, jak to już jest we Włoszech na nieżonatych mężczyzn od 25 do 60 lat. Rada miejska odrzuciła jednak ten projekt, motywując go w następujący sposób: „Bezwątpienia mężczyzna czy kobieta, gdy idą razem przez życie, są silniejsi. Mogą wspólnie stawić czoło grożącym im ciosom losu. Kto jednakowoż pozostaje w stanie bezżennym i dobrowolnie rezygnuje z korzyści małżeństwa, ten musi mieć do tego ważne powody. Właśnie fakt, że on stoi sam w życiu, zdany wyłącznie na przyjaciół i znajomych, oznacza już dostateczną karę. Wobec tego nie będziemy przypominać już tym nieszczęsnym ich męczeństwa i z tego powodu odrzucamy projekt opodatkowania kawalerów".

Ślub bandyty w obliczu śmierci. W Theresiopelu, na Bałkanie, odbył się w tych dniach ciekawy ślub. Na łożu śmiertelnem, osławiony herszt bandycki, Iwan Rozakowicz, pojął za żonę kochankę swą, Teresę Mesev. Iwan miał na sumieniu liczne zbrodnie i morderstwa. Żandarmerji udało się odnaleźć miejsce schronienia bandyty pod Topolą na Basce. Podczas utarczki Iwan został ciężko raniony i odstawiony do szpitala. Czując bliski zgon, prosił o zezwolenie na poślubienie towarzyszki swej, którą również aresztowano. Władze zadość uczyniły ostatniemu życzeniu herszta i zezwoliły na odbycie się ceremonji.

Klęska głodowa w Szantungu. Europejczycy, którzy przybyli do Pekinu z Szantungu, opowiadają wstrząsające wiadomości o strasznej klęsce głodowej, która szerzy się w prowincji Szantungu. Niemniej jak 4 miljony ludności pogrążonych jest w najstraszniejszej nędzy. W 37 miu okręgach na 107 okręgów w prowincji Szantungu zdołano zebrać zaledwie 10 procent zbiorów. Ludność żywi się już od dłuższego czasu korą drzew i słomą. Ludność ta nie ma najmniejszej nadziei ratunku. Najbogatsi nawet chłopi sprzedają za bezcen bydło, aby wyemigrować. Władze miejscowe przypisują klęskę posusze i szarańczy, jednak głównym powodem klęski jest, jak twierdzą Europejczycy, wojna domowa i niesłychanie rozwinięty rozbój. Żadna władza w Chinach nie dysponuje odpowiednimi środkami, aby olbrzymie masy ludności głodującej w straszny sposób uchronić od nieuniknionej śmierci. Niema mowy o jakiejkolwiek pomocy z zagranicy, gdyż do tego potrzebne jest budowanie dróg i stworzenie jakiejkolwiek organizacji, a to w obecnych warunkach jest wykluczone.

Deski ze słomy. Słynny amerykański chemik Dr Sidney Wells zrobił wynalazek, którego znaczenie dla gospodarstwa i przemysłu budowlanego jest bardzo wielkie. Otóż udało mu się sporządzić ze słomy pszennej za dodatkiem pewnych chemikalij drzewo. Problem ten zużytkowania produktów odpadków w rolnictwie był przedmiotem długoletnich studjów Dra Wellsa. Jest on znanym autorytetem na polu badania włókien roślinnych. Drzewo sporządzone tą drogą jest bardzo trwałe i ma specyficzne własności, które podnoszą wybitnie jego zużytkowanie: jest ono doskonałym izolatorem przeciwko zimnu, ciepłu i dźwiękom.

---

† Władysław Nowak. Dnia 6 b. m. zmarł w Czudcu na ostre zapalenie płuc Władysław Nowak, szczery i wierny Przyjaciel „Roli". Pogrzeb odbył się dnia 9 b. m. Cześć Jego pamięci!

PODZIĘKOWANIE.

Składamy w imieniu całej parafji Najprzewielebniejszemu Księciu Arcybiskupowi Metropolicie Sapieże za nadanie nam tak dobrego pasterza w osobie księdza K. Wójcika zwolnionego z Wojska Polskiego, zaś księdzu Wójcikowi składamy podziękowanie, że raczył do nas przybyć.

Szczęść mu Boże!

Parafjanie Miętusi.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Tomasz Kozielec z Krościenka Maćkowi na grzebień 1 zł., Pierściecki Józef z Jasienicy na fryzjera dla Maćka 50 gr., Wład. Biedroń z Przyszowy dla Maćka 50 gr., Marja Ryznerowa ze Lwowa na komers dla Maćka 2 zł.

RZECZY CIEKAWE.

Sen o trzech trumnach.

Ciekawy fakt podaje Maurycy Maeterlinck w swej niedawno wyszłej „Księdze snów“. W pierwszych dniach września pani Anna Jones, żona właściciela sklepu z wyrobami tabacznemi w Londynie, której dziecko było chore, miała następujący sen: Śniło jej się oto, iż zatrzymał się przed nią wóz, w którym znajdowały się trzy małe trumienki, dwie z nich były koloru białego, trzecia nieco większa, blado-niebieska. Woźnica zdjął jedną z białych trumienek, postawił ją na ziemi przed panią Jones, poczem z dwiema pozostałemi odjechał.

W kilka dni potem przyjaciółka jej powiła dziecko, które zmarło 29 września. W następny poniedziałek, 2 października, zmarł 16-miesięczny synek pani Jones. Obie zaprzyjaźnione rodziny postanowiły pochować jednocześnie zmarłe swe dzieci. Rano w dzień pogrzebu oznajmił pani Jones ksiądz, że w sąsiedztwie zmarło także trzecie dziecko i że będzie ono przewiezione do kaplicy wraz z tamtem dwojgiem.

Uderzona tym faktem pani Jones rzekła do swego męża:

— Trumienki naszych dzieci są białe, jeżeli trzecia będzie blado-niebieska, to sen mój wyśnił się.

I rzeczywiście trumna trzeciego dziecka była blado-niebieskiego koloru, a także i największa ze wszystkich, tj. tak, jak ją we śnie widziała pani Jones.

Krwawe obrzędy religijne w Tybecie.

W pewnem czasopiśmie holenderskiem znajdujemy ciekawy opis naocznego świadka, który miał możność przyglądać się w świątyni Lamów klasztoru Chowni w Tybecie próbie ogniowej „świętego“. Świadek ten opowiada: Co trzy lata odbywa się taka próba ogniowa, do której wylosowuje się mnicha. Aby przygotować godnie ofiarę, niebezpieczną dla życia, wylosowany mnich musi 7 dni i nocy spędzić w zupełnem odosobnieniu na modlitwach. Musi również ślubować, że odbierze sobie życie, jeżeli mu się nie uda wykonać ofiary. Na podwórzu świątyni widzi się potężny kocioł pełen oleju i rozpala pod nim potężny ogień. Wszyscy mnisi ustawiają się wielkiem kołem koło kotła, a za nimi staje lud w gęstych szeregach. Mnich, przeznaczony na ofirę, zbliża się do kotła z wrzącym olejem. Ciało jego jest nagie, tylko biodra opasane są czerwoną, wąską chustą. W ręku trzyma puzderko z proszkiem.

Dziko brzmi gong. Płomienie ognia liżą jak ogniste węże boki kotła. Upał staje się nieznośny, nawet w odległości kilkunastu metrów. Z naklęciami na ustach zbliża się mnich do kotła i wyciąga rękę, by wsypać doń proszek. Strach bierze jednak górę i cofa się. Zewsząd odzywają się przekleństwa z szeregów mnichów i ludu. Blady ze strachu zbiera mnich swe siły. Jednym susem jest przy kotle, wsypuje proszek we wrzącą ciecz.— W tej chwili olej pryska wielkiemi kroplami na jego głowę, ramiona i całe ciało. Nie chcąc, by go uważano za tchórza, mnich powtórnie zbliża się do kotła, znowu wrzuca proszek we wrzący żar i znowu pryskają nań gorące krople. Ze spalonego ciała poczynają się sączyć strugi potu i krwi. Wokoło dzikich okrzyków bólu wrzuca mnich raz jeszcze proszek do kotła i pada nieprzytomny na ziemię.

Zewsząd podnosi się krzyk radości. — Odzywają się głośne dźwięki orkiestry. Z pieśnią na cześć Buddy na ustach zanosi tłum mnicha do świątyni i składa go u stóp ołtarza. Mnich jest „świętym“. Ofiara została spełniona.

Na samotnych wyspach.

W środku południowej części oceanu Atlantyckiego ukryte w szerokiej pustyni morza leżą trzy małe wysepki, jedna obok drugiej. Na nich żyje zdala od świata i jego kultury 135 mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy ziemię tę kochają, uważają za swoją ojczyznę, chociaż raczej jest ona dla nich macochą. Grupa tych wysp nazywa się Tristan d'Acunha. Jeden ze śmiałych i przedsiębiorczych dziennikarzy angielskich Roger wybrał się na to odludzie, a następnie w dziennikach zdał sprawę ze swojej podróży, opisując w barwny sposób wulkaniczną naturę tej ziemi, zwierzęta, rośliny no i ludzi, którzy zamknięci w swem małem społeczeństwie, liczącem 50 rodzin czują się zadowoleni i szczęśliwi. Każda rodzina używa najzupełniej niezawisłości, a najstarszy jej członek jest zarazem naczelnikiem. W małem tem społeczeństwie niema ani sądów, ani ustaw, które w każdym razie byłyby zbyteczne, ponieważ na wyspach tych niema pieniędzy, a więc niema i niemoralności i zbrodni. Stan zdrowia mieszkańców pomimo wilgotnego klimatu i częstych burz jest doskonały. W ostatnich latach umarło tylko trzech ludzi, z tych jedno niemowlę, a jeden starzec, liczący przeszło 90 lat. Uwagi godnem jest, że obywatele wysp Tristana nie chorują nigdy na zęby i do najpóźniejszego wieku posługują się własnem uzębieniem.

Ale niech nikt nie sądzi, że życie mieszkańcom idzie po różach. Urodzajnej ziemi jest mało, trawa bardzo nikła, drzewa rzadkie. Nawet połów ryb jest przez większą część roku wskutek dzikości morza niemożliwy. Jedynym majątkiem mieszkańców są jaja morskich ptaków, zwłaszcza mew i pingwinów. Rok rocznie według starego zwyczaju przylatują te ptaki na dzikie skały wysp i znoszą jaja. Od czasu do czasu wyczerpują się mieszkańcom środki żywności, a wtedy Tristanowie zaprowadzają u siebie rodzaj kart żywnościowych, mających na celu ograniczenie spożywania artykułów dopóki czas krytyczny nie minie, lub nie zawinie w te strony okręt i nie zaopatrzy dobrowolnych wygnańców w żywność. Ale statki parowe i ogółem okręty bardzo rzadko zawijają. W ostatnich trzech latach nie ukazał się ani jeden parowiec na horyzoncie. Na skutek rewelacyj angielskiego dziennikarza, rząd angielski zwrócił uwagę na swoich dalekich, a zapomnianych obywateli i obecnie zaopatruje ich regularnie w żywność, odzienie, książki i wszelkie potrzeby kulturalne, wysyłając co trzy miesiące wielki parowiec wyładowany tymi artykułami.

Psie mocarstwo.

Anglja jest nietylko jednem z najpotężniejszych mocarstw na świecie, nietylko władczynią mórz, lecz także psiem mocarstwem. Według ogłoszonej statystyki, Anglja liczy obecnie 4 miljony psów. Przy 40-miljonowej ludności W. Brytanji wypada jeden pies na dziesięciu mieszkańców.

W tej licznej psiej rodzinie reprezentowane są wszystkie rodzaje i rasy psów, od wykwintnych luksusowych piesków do bezdomnego kundla ulicznego. Nie dziw, że w państwie tak bogatem, jak Anglja, liczba psów wysokiej rasy jest wyjątkowo duża.

Dochód, jaki Anglji przynosi podatek od psów, wynosi przeszło 40 milj. f. szt. rocznie. Ale nietylko skarb korzysta z tej psiej produkcji, ale istnieją w Anglji tysiące mężczyzn i kobiet, zajmujących się hodo-

wlą, tresurą a wreszcie handlem psami, dobrze im się w zawodzie tym powodzi i wcale nie pędzą psiego życia.

Kaszląca roślina.

Pewien botanik francuski utrzymuje, że odkryta przez niego w krajach podzwrotnikowych roślina ma tę szczególną własność, że kaszle od czasu do czasu w sposób charakterystyczny. Owoc tej rośliny podobny jest do owocu fasoli. Kaszląca roślina zachowuje się tak, jak człowiek szalony, którego łatwo jest doprowadzić do największej wściekłości; nie znosi ona kurzu. A skoro tylko najdrobniejszy nawet pyłek dostanie się na jej liście, komórki tych liści wypełniają się gazem, który po pewnym czasie wybucha. Powstający przy tym wybuchu hałas bardzo przypomina odgłosy kaszlu dziecka. Napewno każdy, kto byłby świadkiem takiego kaszlu, nie mógłby powstrzymać się od zdziwienia i szukałby kaszlącego, dopóki nie powiedzianoby mu, że to kaszle roślina.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę“ w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli“, mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Jan Pelczar** w W. S.: Nadesłany utwór zupełnie dobry — zamieścimy. — **Hela B.** z Mydlnik: Czy zagadki własnego układu? bo pierwsza stanowczo nie. — **Antoni Frączek** w P.: Zagadki otrzymaliśmy — pójdą w miarę miejsca. — **Targoszów:** Opowiadanie dość zajmujące, ale brak w niem opracowania literackiego. Może dalsze próby będą lepsze. — **„J. S. — Ach — 15 w Ł.“**: Nadesłany wierszyk nie jest poezją, ale czemś, co każdy umiejący pisać jako tako sklecić potrafi. — **„Albatros“:** Myśli bardzo dobre — dzięki. — **Alk.:** Znać u Pana łatwość rymowania, ale brak polotu. Czytając je, ma się wrażenie, że się jedzie po grudzie. — **B. Szymański** w B.: Czy zagadki dobre, trudno nam sprawdzić, gdyż nie nadesłał Pan rozwiązania. Numerów z 1912 i 1913 r. nie mamy zupełnie. — **„Yoga“** i **Wł. Marko** w K.: Zagadki otrzymaliśmy. — **Ludwik Kaczor** w S.: Brak tylko 70 groszy. Zgoda. Cześć! — **Jakób Sznajder** w S.: Dziękujemy — numera wysłaliśmy. Może się da jeszcze coś zdziałać. Cześć! — **Leon. Frocner** w S.: Numera wysłaliśmy — dziękujemy. —**W. Byczek** w K.: Wszystkie brakujące numera przesłaliśmy prócz Nr. 1 z r. 1926, gdyż wolnego nie mamy tylko w kompletach i to już na wyczerpaniu. Życzymy pomyślności na nowej posadzie. — **Marja Wawrzykówna:** Nadesłany utwór zamieścimy. — **Jan Stopka** w D.: Termin zgłaszania kandydatur do sejmu upływa w dniu 3 lutego, dlatego nie można powiedzieć o nich jeszcze nic pewnego. Dotychczas wiadomo, że numer 1 będzie miała lista rządowa, to znaczy tych osób, które popierają Marszałka Piłsudskiego i jego zwolenników. Numer 2 będą miały listy socjalistyczne, nr. 3 „Wyzwolenie“, nr. 4 Związek żydowski „Bund“, nr. 5 Żydowski Komitet „Poale Sjon“.



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Marko).

■	☆	☆	☆	□	☆	Jest przy wędce.
☆	■	☆	☆	☆	□	Rodzaj trzewika
■	☆	☆	☆	□	☆	Fizyk angielski.
☆	■	☆	☆	☆	□	Marka tutek.
■	☆	☆	☆	□	☆	Imię żeńskie.
☆	■	☆	☆	☆	□	Powieść Kraszewskiego
■	☆	☆	☆	□	☆	Worki inaczej.
☆	■	☆	☆	☆	□	Miesiąc.
■	☆	☆	☆	□	☆	Rzemieślnik.
☆	■	☆	☆	☆	□	Roślina.
☆	■	☆	☆	☆	□	Choroba skóry.
■	☆	☆	☆	□	☆	Ptak.
☆	■	☆	☆	☆	□	Ptak wspak.
■		☆	☆	□	☆	Płakać.
☆	■	☆	☆	☆	□	Indjanin
■	☆	☆	☆	□	☆	Miasto w Rosji wspak.
☆	■	☆	☆	☆	□	Powóz.
■	☆	☆	☆	□	☆	Słynny morderca kobiet.

Litery zamiast kwadracików czarnych, **czytane** z góry na dół dadzą nazwę sławnego obrazu. Litery zamiast kwadracików białych, czytane z dołu do góry, dadzą tytuł powieści.

2. Szarady.

(Ułożył Alfons Czader z S.).

I.

Pierwsze trzecie mają rzeki
Morza i wartkie potoki,
Drugie trzecie konia miano,
Tak od barwy go nazwano,
Drugie wspak i trzecie miary.
Całość mieszka koło fary.

II.

Wstawaj przecie pierwszy czwarty
Trzecie czwarte nie na żarty.
Pierwszy pół drugi na świecie
Śpiąc pierwsza trzecia cię gniecie,
Kot twoje śniadanie drugie,
No, nie marnuj, chwile drogie,
Pójdziesz i kupisz całości
W sklepie, do zupy dla gości

III.

Pierwsze trzecie mają skrzynie.
Trzecie swe dochody dziennie,
W trzeciem pierwszem jest trucizna.
Całość to placówka ważna,
Jest to wioska, ma kopalnie,
No, kto pierwsze Pany, Panie?

IV.

Kto pierwsze drugie posiada,
Temu nic nie zrobi bieda,
Druga trzecia w polityce
Strona; schodzi na manowce
Pół pierwszego, druga, trzecia
U rolnika do pozbycia.
Całość farba co się świeci
Gdy uderzysz, to odleci.

3. Zagadka.

(Nadesłał Jan Skoczek z D.).

Ten, co ją miał, to ją sprzedał,
Ten, co ją kupił, to jej nie miał,
Ten, co ją miał, to jej nie widział.

4. Przestawianka.

(Ułożył Andrzej Rębiński z K.).

Kto, szu, wa, źni, ja, ni, bły, ja, ka, nie, jej, śnie, przy, bez, za, na, szu, bla, cie, przy, ka, dy, zna, cie, wet, la, gdy, przy, mu, dy, la, bez, ja, cień, nie, kto, wa, dy.

Z powyższych zgłosek ułożyć jedną zwrotkę wiersza z poezji japońskiej.

5. Zadanie matematyczne.

(Ułożył Antoni Król z Brzeska).

W sześciu stajniach pomieścić 50 owiec tak, żeby w każdej stajni była niejednakowa i nieparzysta liczba owiec.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 21 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 1 „Roli“: 1. Logogryf: Stefan Żeromski — Syzyfowe prace. 2. Szarady: Śniadanie, Marceli, podatek. 3. Układanki: Nowy Targ, Radom, Bytom, Stanisławów, Rumunja, Turkot. 4. Przestawianki: Nastąpił rok tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy. — „A czy znasz ty bracie młody“... i t. d.

Dobrego rozwiązania wszystkich zagadek w oznaczonym czasie nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Także znawca.

Nauczyciel: „Jasiu, powiedz mi zdanie, w którym znajduje się wyraz cykorja".

Uczeń: „Trzy razy dziennie piję kawę".

Nauczyciel: „Gdzie tu jest cykorja??"

Uczeń: „W kawie, panie profesorze".



Szkoda.

— Teraz, kiedy jestem żonaty żyję za połowę tego, co wydawałem za czasów kawalerskich.

— Szkoda, że dwużeństwo jest wzbronione, bo w takim razie przy dwóch żonach żyłbyś za darmo.



Żona do męża.

— Im dłużej jesteś ze mną, tembardziej jesteś głupi.

Niezawodny sposób.

— Więc pan jest jedynym uratowanym marynarzem z tego zatopionego okrętu?

— Tak jest.

— Katastrofa musiała być straszna.

— O tak!

— Pan jest dzielnym człowiekiem!

— Naturalnie!

— A w jaki sposób pan zdołał się uratować?

— Byłem wtedy na urlopie u rodziców na wsi.



Przy opuszczeniu więzienia.

— Jestem pewny, że teraz już będziecie usiłowali przejść przez życie drogą uczciwą.

— Panie dyrektorze, w moim wieku nie czas na eksperymenty.



Brak tualety.

— Mamy nadzieję, że przyjdzie pani na nasz związkowy bal?

— Wątpię, niestety nie mam nic do włożenia.

— W takim razie będzie pani na naszym balu kostjumowym.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 10 stycznia b. r.

Pszenica .	51·00—52·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	41·00—42·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	37·00—37·50	Koniczyna na-sienn. czer.	360·00—370·00
Jęczmień .	38·00—39·00	Otręby żytnie	28·00—29·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Mąka żytnia	60·00—62·00
Fasola biała	44·00—46·00	Mąka pszen.	82·50—81·00
Groch zwyk.	00·00 - 00·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Książki do nabożeństwa

Zbiorek Modlitw, Książka do nabożeństwa dla czcicieli Serca P. Jezusa, stron 512, oprawne 2 łz. 70 gr.
Przyjdź Królestwo Twoje, Książeczka do nabożeństwa dla młodzieży, stron 320. Oprawne w płótno 1·80 zł.
Ołtarzyk polskiego dziecka. Wybór modlitw i pieśni dla dzieci, stron 160, oprawne . . . . 1 zł. 30 gr.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120.
Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1·10 zł.

OKŁADKI NA „ROLĘ" **twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2·20 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli". Wysyłka następuje zaraz**

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.

Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy